# W sprawie stosunków łowieckich.

Coraz częściej ostatniemi czasy słyszy się w prasie myśliwskiej utyskiwania na znaczny ubytek zwierzyny: różni różne tego przyczyny widzą.

W numerze 11—12 „Przeglądu Myśliwskiego“ p. Seweryn Cichowski znany obywatel i doskonały myśliwy z Sandomierskiego uskarża się na tę samą bolączkę i główną przyczynę zła widzi, po- alarm z powodu nadmiaru nowo-potworzonych rzekomych myśliwych, rekrutujących się przeważnie z ludzi absolutnie do myśliwstwa niepowołanych, którzy są tylko zwykłymi partaczami, częstokroć legalnemi kłusownikami. Remedium na tę bolączkę leży li-tylko po stronie władz, które winny wprowadzić co rychlej: 1-o dawno projektowany system



NIE WOLNO!

pierwsze — w zastępach pseudo-myśliwych, jacy się w ostatnich czasach namnożyli i po-drugie w polowaniach „w kotła“. Podzielając całkowicie wywody p. C. co do pierwszego punktu, pozwolę sobie jednocześnie przytoczyć tu kilka małych „à propos“.

Otóż w licznych artykułach moich drukowanych bądź w „Łowcu Polskim“, bądź w „Przeglądzie Myśliwskim“, ciągle zwracam uwagę i biję na egzaminacyjny i 2-o nie wydawać bezwarunkowo biletów na broń bez uprzedniej porady i wskazówek odnośnych zrzeszeń łowieckich, względnie osób kompetentnych, które jedynie tylko są „au courant“ spraw kwalifikacyjnych i które skądinąd brałyby na siebie moralną za danego osobnika odpowiedzialność. Z powyższej restrykcji są oczywiście wyłączeni wszyscy starzy, znani myśliwi, bądź też obywatele ziemscy, co do których opinja

w żadnym razie nie może być kwestjonowana. Dalej proponowałem powołanie na odnośnych terenach łowieckich, wzorem Małop. Tow. Łowieckiego, — delegatów, którzyby nad sprawami łowieckiemi danej okolicy czuwali i o nie pilnie dbali. Wszystko to jednak leży jak dotąd w krainie projektów, które nie wiadomo czy kiedykolwiek zostaną dla tych czy innych względów zrealizowane. Wogóle są to sprawy nader ważne, dziwną jest więc wielka bierność i apatja ogółu myśliwych, którzy z małemi wyjatkami, zrzadka tylko głos swój na łamach pism łowieckich zabierają, nie dając tym sposobem nieodzownego impulsu dla uwieńczenia sprawy pomyślnym rezultatem. Mało bardzo, niestety, jest ludzi energji i czynu, każdy tylko skłonny wyrzekać i utyskiwać, lecz działać niema komu. Czasem się ktoś zapali do danej sprawy, nagada, nakrzyczy i na tem koniec. Typowy polski słomiany ogień!

Największą bolączką jest, uważam, bez wątpienia kłusownictwo, rozwielmożnione pod bardzo wieloma postaciami, celem tedy radykalnej poprawy naszych stosunków łowieckich i racjonalnej ochrony zwierzyny, należy coprędzej wyjednać, gdzie należy, radykalną modyfikację dotychczasowych nader łagodnych kar, wprowadzając je w jaknajostrzejszych rozmiarach, dotychczasowe bowiem są śmiesznie małe i ukrócić kłusownictwa absolutnie nie są w stanie.

Pozatem wracając do artykułu p. Cichowskiego pod tytułem „Dlaczego zwierzostan u nas upada“, pozwolę sobie zaznaczyć, że szukanie głównej przyczyny w polowaniu „w kotła“ nie jest zdaniem mojem słuszne. Nie mogę się zgodzić z panem C. że polowanie to jest absolutnie godne tylko pseudo-myśliwych, stanowiąc ohydną i wstrętną rzeź. Wiem dobrze, że bardzo wielu obywateli-ziemian doskonałych wytrawnych „par excellence“ myśliwych, nietylko w Opatowskiem i Sandomierskiem właśnie, ale wogóle w całej Polsce ten rodzaj polowania „con amore“ uprawia. I nie widzę w tem nic złego. Jest to polowanie absolutnie wszędzie zalegalizowane i etyczne. To są finezje estetyki i osobiste jedynie punkty widzenia. Wobec tego, sądzę, że niesłusznem jest w tym wypadku potępianie tego systemu polowania. Toć i w każdem innem polowaniu, czy to z naganką czy innem, jest nieraz wielka rzeź, o ile naturalnie uczestniczą myśliwi, dobrzy strzeley, a teren dany obfituje w zwierzynę. Wogóle każdy rodzaj polowania, czy to „na pomyka“, z naganką i t. d. i t. d. może być mniej lub więcej szkodliwym i mniej lub więcej etycznym. Wiemy dobrze, że większość posiadłości urządza takie masowe gremjalne polowania raz, a najwyżej dwa razy do roku, wobec czego ograniczenie takie jest tym inteligentnym regulatorem zwierzostanu. W każdym poszczególnym wypadku odgrywa jedynie rolę sam myśliwy, jako taki. Nie można więc potępiać w czambuł danego systemu polowania. Spotkałem również niedawno artykuł z zarzutem co do polowania „na pomyka“. Autor twierdzi, że jest to rodzaj polowania wysoce szkodliwy, gdyż tępi niepomiernie zwierzynę. Zdaniem mojem o ile myśliwy chodząc „na pomyka“ ze spotkanej ilości zajęcy odstrzeli tylko pewien odpowiedni odsetek, nie może być wtedy mowy o ujemnej stronie tego rodzaju polowania. I tu więc, widzimy, wchodzi w grę jedynie inteligencja dobrego myśliwego, a nie sam rodzaj polowania. Boć myśliwy musi bezwarunkowo być przedewszystkiem hodowcą, prawdziwym miłośnikiem zwierzyny, a nie typowym rzeźnikiem, oprawcą, strzelającym „na mięso“. Dlatego też uważałbym, że wszelkie ubiegania się za osiągnięciem nieraz bardzo problematycznych na polowaniach „królestw“ są faktycznie nieodpowiednie. Niestety myśliwych strzelających „na mięso“ jest bardzo dużo, wskutek tego właśnie, że bilety na broń dostają się wobec niekompetemcji i ignorancji władz, w ręce osób często zupełnie niepowołanych. Jeśli naskutek licznych głosów w prasie odpowiednie czynniki zechcą tę sprawę rozpatrzyć i wziąć do serca, kwestja ta może już w niedalekiej przyszłości zostanie w duchu pomyślnym załatwiona.

Z każdej najszlachetniejszej rozrywki, czy sportu, można stworzyć rzecz niesmaczną i godną wprost potępienia, o ile się jej nieodpowiednio lub niewłaściwie używa, lub też nadużywa. We wszystkich poczynaniach człowiek dzięki wrodzonej inteligencji swej wnosić winien odpowiedni umiar i estetykę, dzięki czemu nadaje danej rozrywce miły i sympatyczny charakter.

Odbiegając nieco od fachowego przedmiotu wspomnę tu mimochodem, że „x“ przeróżnych sportów, czy zabaw, są pozbawione (dla prawdziwie inteligentnego i szlachetnego człowieka) cech prawdziwej godziwej rozrywki. I tak, wyścigi koni, wzgl. cyklistów, lub piechurów, czy to nie barbarzyństwo? — dalej, walki byków, coś ohydnego, arcy nieludzkiego, „foot ball“ mało chyba estetyczny, a nader ordynarny sport wyrabiający mięśnie i tężyznę muskułów łydek i nóg (!) (najwstrętniejszy może z powodu częstego obcowania i stykania się z drużynami żydowskiemi)—dalej ohydny wulgarny, wprost dziki „boks“, — wszelkie walki atletów, wszystko to świadczy o faktycznie bardzo powierzchownej tylko inteligencji i małej kulturze człowieka, wzbudzającej w prawdziwych, głębiej pojmujących świat, ludziach wstręt i odrazę. Że pominę milczeniem wszelkie hazardy.

Wogóle wszystko to są kąty widzenia w absolutnej zależności od poziomu wrodzonej inteligencji i kultury człowieka, według których urabia on swój ogólny światopogląd.

Wracając do spraw łowieckich, zaznaczę tu jeszcze, że dziś zanikają niestety, typy prawdziwych „par excellence“ myśliwych i nawet wśród sfer bliżej natury stojących, rzadko spotykamy prawdziwych łowców-hodowców, miłośników przyrody: składają się na to liczne okoliczności.

Zniknęły bezpowrotnie piękne polowania z ogarami, o których się prawie już nigdzie nie słyszy.

Polowania z chartami należą również do rzadkości. Choć skądinąd ten rodzaj polowania był bardzo zgubny dla zwierzyny, gdyż faktycznie masowo niszczył zające, które poza kłami psów ginęły w wielkiej ilości na liczne choroby (zapalenie płuc i inne) ze zmęczenia i strachu.

Mimo wszystkie zakusy i ujemne strony, łowiectwo nasze poszczycić się może, że jest bez zaprzeczenia najszlachetniejszym i najstarszym ze wszystkich sportów, trwa ono od wieków i trwać będzie wiecznie, licząc w swoich szeregach bardzo poważnych i zacnych przedstawicieli, czerpiących bogactwo ducha z łona matki-natury, miłujących to wszystko, co zawsze niedostępnem i niezrozumiałem będzie dla profanów nie-myśliwych.

Prawdziwego piękna tego rycerskiego sportu nie zdołają nigdy zohydzić żadne złe moce. Łowiectwo nasze ma za sobą bogatą i piękną kartę historji i świadczyć będzie pokoleniom przyszłym o wielkim na tem polu dorobku.

*Stefan Ostrowski.*

# Polowanie na ryby.

Ktokolwiek spędził czas dłuższy w Japonji lub Chinach, a będąc miłośnikiem przyrody robił wycieczki poza obręb miasta, przechadzając się wzdłuż brzegu jednej z wielkich rzek, nie mógł nie zauważyć licznych łodzi stojących na kotwicy, lub leniwie płynących z prądem, wokół których trzepotały się na wodzie jakieś ciemne a ruchliwe plamy. Paru półnagich ludzi z uwagą śledzi przezroczą głębię, czasem z wody do łódki skoczy, czy też uniesie się, niewielki, ciemny kształt, siejąc w powietrzu srebrne bryzgi.

Krajowiec, do którego się obcy przechodzień z zapytaniem zwróci — najpierw wytrzeszczy oczy pełen zdumienia, maskując natychmiast ten w miejscowem pojęciu niegrzeczny odruch uprzejmym uśmiechem, poczem odpowie krótko:

„Szima-u!“.

Szima-u to kormoran, najzręczniejszy rybak świata; ptak wielkości dużej gęsi o długim, wązkim, haczykowato zakrzywionym dziobie barwy żółtej o jasno zielonych oczach i o czarnem, lśniącem jak węgiel kamienny upierzeniu. Młode ptaki mają pióra delikatnej popielatej barwy, z pod których na piersi prześwieca biały puch.

Dawniej kormorany gnieździły się na skalistem wybrzeżu japońskiego kontynentu; dziś, przetrzebione znacznie schroniły się na trudno dostępne, małe wysepki północy, gdzie dzięki pewnym prawom ochronnym zabezpieczono je przed ostatecznem wymarciem.

Łowca kormoranów musi mieć dużo wprawy, silne nerwy, znajomość ptasich obyczajów i zręczność urodzonego mieszkańca gór. Niełatwo bowiem



Kormoran.

jest wdrapać się na skały, u stóp których huczy wiecznie burzliwe morze, i polować tam na ptaki z natury nieufne, a w chwili niebezpieczeństwa złe. Łapie się przytem tylko okazy młode, bo te

przyzwyczajają się łatwiej do dość ciężkiej pracy której człowiek od nich wymaga.

Chodzi bowiem o to, by kormoran, rybak z urodzenia i zamiłowania, zdolności swe obracał na korzyść swego pana. Tresura dość długa i mozolna dopomaga wrodzonym skłonnościom. Młody ptak dostaje więc umundurowanie: kółko z fiszbinu, grubej struny, lub miękkiego rzemyka wokół szyi, oraz, by zapobiec bolesnym uderzeniom, rodzaj słomianej plecionki, którą się owija koniec dzioba. Do obroży przymocowana jest cienka, lecz mocna linka, długości trzech metrów, której koniec profesor trzyma w ręku. Tak wyekwipowanego ptaka

Nowicjusz w gronie doświadczonych kolegów dnia pewnego przystępuje do pracy. Właściciel i jego rodzina, lub też najęci pomocnicy, niosą nad brzeg rzeki duże kosze, z których każdy umocowany jest do końca drąga przerzuconego przez ramę. Kosz jest z kształtu podobny do rondla, upleciony z wikliny i pełen szpar, przez które wpływa powietrze. Silna przegroda dzieli go na dwie części, a każda z nich jest mieszkaniem jednego kormorana. Na łódź wsiada minimalnie dwu ludzi, zazwyczaj jednak trzech; dalszą załogę stanowi od dwunastu, do dwudziestu czterech kormoranów. Jeden człowiek wiosłuje, dwaj kierują pta-



Polowanie na ryby.

puszcza się na wodę. Nowicjusz pływa w kółko, to znów niezgrabnie porywa się do lotu, przerażony, nie wiedzący czego od niego ludzie chcą. Po paru, lub kilku tygodniach uspokaja się jednak, a że karmią go cały ten czas bardzo skąpo, więc z coraz to wzrastającem zainteresowaniem śledzi pływające opodal ryby.

Wówczas to nadchodzi ważna chwila. Słomianą plecionkę się usuwa, a obrożę dopasowuje bardzo starannie; o ile bowiem jest zbyt ciasna, męczy ptaka i powoduje choroby, o ile zbyt luźna, dozwala mu połykać każdą złowioną rybę. Chodzi zaś o to, by kormoran zjadał małe rybki, nie przedstawiające żadnej wartości, a duże oddawał swemu panu.

kami. Łuki umocowane do obroży ptaków rybak trzyma w lewem ręku; palcami zaś prawej przerzuca je z zadziwiającą zręcznością nie plącząc niemal nigdy. Jest to sztuka nielada, szczególnie gdy się zważy, że doświadczony rybak kieruje zazwyczaj dwunastoma ptakami, z których każdy to nurkuje, to unosi się w powietrzu, to znów goni upatrzoną zdobycz. Linkę należy trzymać o tyle luźno, by nie krępowała ruchów ptaka, i o tyle naprężoną, by nie zaczepił o nią łap. Początkujący rybak bierze dwa lub trzy kormorany, a i to dobrze się nieraz napoci.

Ogromną trudność przedstawia także odebranie zdobyczy od źle wytresowanego ptaka. Właściciel pozwala mu zjadać małe rybki, lecz gdy po

jego niespokojnych ruchach zauważy, że trafiła mu się grubsza zdobycz, której, dzięki fiszbinowej obroży nie może połknąć, za pomocą linki wciąga go do łodzi i tam odbiera schwytaną rybę. Nie obywa się bez wrzasków oburzenia i uderzeń dziobem. Przytem ptak rozżalony czas dłuższy bezczynnie krąży po wodzie nim, zachęcony widokiem kolegów, powtórnie da nurka. Nieraz też jest o tyle sprytny, że łapie tylko małe rybki, takie, które bez trudu może przełknąć.

Jak każde żywe stworzenie kormoran ma też swe przyzwyczajenia, graniczące niemal z manjactwem. Naprzykład rybę połyka tylko głową naprzód. O ile złapie ją w pół ciała, wówczas przesuwa ją w dziobie, aż zajmie odpowiednią pozycję. Jeśli idzie to zbyt opornie, wówczas podrzuca swą zdobycz w powietrze, tak zręcznie obrachowując siłę rzutu i ewentualne odruchy ryby, że ta zawsze niemal opada głową naprzód w szeroko otwarty dziób. Najtrudniejsza sprawa jest z węgorzem. Silny i sprężysty, tak gwałtownie się wyrywa, a rzucony w powietrze tak łatwo zmienia kierunek opadu, że często odzyskuje wolność. To też młody kormoran złapawszy węgorza toczy wkoło przerażonym wzrokiem, a wciągnięty do łodzi z wyraźnem zadowoleniem pozbywa się krępującego więźnia.

Jak widać z powyższych opisów wytresowanie kormorana nie jest rzeczą łatwą; to też dobry pracownik wart jest od 50 do 75 dolarów zależnie od wieku i stanu zdrowia.

Starsze i dobrze wytresowane kormorany są to zazwyczaj osobniki flegmatyczne i pogodzone z losem; czasem nawet, chociaż są to jednak wyjątki — zamiłowane w pracy. Chętnie idą do wody, bez oporu oddają swą zdobycz, a po ukończeniu pracy obsiadują brzegi łódki susząc w słońcu zmoczone pióra. Każdy ma wyznaczone w tym celu miejsce i zazwyczaj przywiązaną do tego miejsca nazwę; jest więc „Numer pierwszy“ „Numer drugi“ i tak dalej. O ile ktoś przez pomyłkę lub złą wolę zajmie miejsce sąsiada, powstaje straszny gwałt i tumult, który właściciel uspokaja z trudem, przywracając zachwiany porządek.

Kormorany na swobodzie żyją do lat trzydziestu; w niewoli jednak, czy to na skutek ciężkich warunków pracy, która trwa nieraz 10 i 12 godzin na dobę, czy na skutek tęsknoty za swobodą, giną pomiędzy piętnastym, a dwudziestym rokiem życia. Nie rozmnażają się przytem wcale. Kormoran który przepracował lat dwadzieścia staje się wprost legendarnym. Jednakże kupno dobrego ptaka opłaci się zawsze, i to nawet w krótkim czasie, bowiem dzienna zdobycz kormorana wynosi od stu, do trzystu sztuk ryby.

Najbardziej dochodowym dla rybaka, a najładniejszym dla widza, jest połów pstrąga nocą. W tym celu wybiera się płytką zatokę o kamienistem dnie i tak przezroczej wodzie, że zdaje się, iż pomiędzy powierzchnią, a dnem leży tylko tafla cienkiego szkła. Łódź pędzona cichem pchnięciem wiosła sunie bez szelestu niemal. Ludzie, półnadzy, porozumiewają się szeptem. Mrok leży wkoło nieprzenikniony prawie. By połów się udał, należy wybierać porę gdy księżyc już zaszedł, lub gdy nie ukazał się jeszcze. W czasie pełni połowy się zawiesza.

W pewnej chwili, na dziobie łodzi rozbłyskuje jaskrawe światło. Płoną szczapy drzewa



Łódź myśliwska japończyka.

w żelaznym koszyku. Kormorany, wydobyte z zamknięcia obsiadają brzegi łodzi, gładząc pióra długim dziobem, lub sennie trzepocząc skrzydłami. Rybak, przechylony przez burtę do pół ciała, patrzy w wodę.

Naraz, cichy okrzyk, i ptaki jedne po drugich skaczą w głębię. Bryzgi lecą jak deszcz lśniąc w blasku płomienia krwawo lub złociście, smukły niby z bronzu ulany rybak stoi cały we wzrok i słuch zamieniony, przerzucając szybko palcami prawej ręki trzymane w lewej dłoni linki, i od czasu do czasu odbierając z żółtego dzioba lśniącego, jak żywe srebro, pstrąga.

Tak samo było lat temu sto, tysiąc, i dawniej jeszcze. Bo, jak twierdzi podanie, dwa i pół tysiące lat temu, Dżimmu, pierwszy cesarz Japonji, napisał poemat, w którym wychwala pracowitość kormorana i urok „polowania na ryby“.

*Jerzy Marlicz.*

# OCHRONA PRZYRODY.

*(Nowe rozporządzenie Rady Ministrów).*

Idea ochrony przyrody w Polsce powstała w drugiej połowie ubiegłego wieku, kiedy zamiłowanie przyrody zaczęło ogarniać szerokie warstwy społeczeństwa i zaczęło być propagowane, jako dużej wagi czynnik wychowawczy, oraz kiedy większe uprzemysłowienie kraju poczęło zagrażać coraz bardziej przyrodniczemu stanowi posiadania. Rozwijała się ta idea równolegle z akcją ochrony przyrody, budzącą się w całym świecie kulturalnym, wszędzie otaczana opieką i wspomagana poparciem materjalnem i moralnem państwowej władzy.

U nas jedynie musiało zadanie ochrony przyrody spoczywać na barkach nielicznych z początku jednostek, potem zaś szerszych kół społecznych, towarzystwa tatrzańskiego i innych.

Dość zasobna literatura z przed wojny z dziedziny ochrony przyrody jest świadectwem wysiłku społecznego dokonanego dla tej idei.

Wielostronne znaczenie ochrony przyrody dla życia narodowego Polski, jej znaczenie wychowawcze dla szerokich kół społecznych, znaczenie naukowe, względy estetyczne, zachowanie piękna swoistego krajobrazu ziemi polskiej, a wreszcie i doniosłe znaczenie dla życia gospodarczego, stawiają ochronę przyrody w rzędzie ważniejszych obowiązków nietylko społecznych, ale i państwowych.

Z chwilą powstania niepodległego państwa polskiego rząd starał się zapełnić lukę, jaka istniała dotychczas w dziedzinie stosunku państwa do ochrony przyrody i wziął na siebie tę część pracy, która nań przypada wzorem organizacji tej dziedziny w innych kulturalnych państwach.

Ministerstwo W. R. i O. P. powołało do życia w r. 1919 Tymczasową państwową komisję ochrony przyrody, składającą się z przedstawicieli sfer naukowych, społecznych oraz z delegatów zainteresowanych ministerstw. Komisja rozwinęła ożywioną działalność, zorganizowała swe organy prowincjonalne, powołała szereg delegatów w poszczególnych punktach kraju, działając na podstawie tymczasowej instrukcji, zaleconej przez ministerstwo W. R. i O. P. Wyniki działalności komisji widoczne są z jej urzędowego organu, wydawanego p. t. „Ochrona Przyrody“.

Cała dotychczasowa działalność komisji wykazuje wielki pożytek i potrzebę istnienia placówki państwowej w tej dziedzinie pracy. Szczególnie zasługują na uwagę prace dokonane oraz przygotowawcze w zakresie tworzenia rezerwatów przy-

# RAMOTY I RAMOTKI MYŚLIWSKIE.

# GAWĘDY MYŚLIWSKIE.

2

PRZYGODA WUJKA NA KACZKACH.

— Znacie mojego wujka, Teofila?

— A jakże, znamy! znamy!

— No, to wam opowiem, jak z nim polowałem na kaczki.

— Jest on jednym z tych niewielu, co to do każdej okoliczności się zastosuje, nigdy nie psuje towarzystwa; co nigdy nie powie: nie!

Chodzi tyle filistrów po tym Bożym świecie, iż jest on pod tym względem wybitnym wyjątkiem, a dla mnie chociażby dlatego samego zawsze miłym i pożądanym gościem. Sposobem podstarzałych kawalerów wymyśla na wszystko wprawdzie i marudzi, ale mimo to siada w siodło, choćby zwierzęta przeznaczone do jazdy były osły lub wielbłądy, idzie na spacer przy 32 stopniach Reaumura, i gdyby mu powiedziano: będziemy teraz na nartach biegać, chociażby to było lato i sposobu tego używania ruchu w życiu nie widział, kazałby sobie bez wahania przytwierdzać nogi do sanicy,

rodniczych w Polsce (Puszcza Białowieska, Pieniny, Góry Świętokrzyskie, Jezioro Wigierskie, Świteź, Dolina Ojcowska, Karpaty Wschodnie i in. drobniejsze).

Ostatnio we wrześniu ub. r. dokonane zostało w Zakopanem porozumienie polsko-czeskosłowackie co do utworzenia w Tatrach parku natury po obu stronach granicy oraz przygotowana została konwencja turystyczna, która umożliwi ruch turystyczny na całem pograniczu Polski i Czechosłowacji.

Duże znaczenie komisji dla międzynarodowego stanowiska Polski znalazło swój wyraz w tem, że w rokowaniach z Czechosłowacją Polska była stroną inicjującą i dającą projekty parku natury i konwencji. Inne państwa pragną wzorować swoją organizację na organizacji polskiej (Holandja).

Na międzynarodowym zjeździe ochrony przyrody w Paryżu w maju r. 1923 Polska była, dzięki komisji, należycie reprezentowana i była inicjatorką poczynań i projektów międzynarodowych w tej dziedzinie (ochrona żubra).

Pierwszem zadaniem komisji było opracowanie podstaw prawnych dla tej organizacji i działania. Sprawa nastręczała wiele trudności, wreszcie doprowadziła do stworzenia projektu ustawy o utworzeniu Państwowego urzędu ochrony przyrody i państwowej rady ochrony przyrody.

Nad projektem ustawy odbyła się w ministerstwie W. R. i O. P. konsultacja prawna przedstawicieli wszystkich zainteresowanych ministerstw w dniu 25 listopada 1924 r. z wyjątkiem ministerstwa sprawiedliwości, które opinję swoją nadesłało oddzielnem pismem.

Konsultacja wypowiedziała się za wydaniem rozporządzenia, organizującego władze ochrony przyrody, a nie ustawy, oraz za zorganizowaniem urzędu, poświęconego zadaniom ochrony przyrody przy ministerstwie W. R. i O. P.

Biorąc pod uwagę powyższe, rada ministrów uchwaliła rozporządzenia: 1) w sprawie zmiany statutu organizacyjnego ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego i 2) o trybie załatwienia spraw ochrony przyrody wchodzących w zakres działania ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

Uchwały te są szczególnie aktualne w obecnej chwili ze względu na toczące się obecnie rokowania z Czechosłowacją, dla których ze strony Polski koniecznem staje się istnienie oficjalnej placówki państwowej, poświęconej ochronie przyrody, która mogłaby zapewnić wykonanie tych postanowień, jakie z tego porozumienia powstaną.



mruknąwszy tylko z pod wąsa coś o „narwańsstwie“ lub o „pstrej głowie“.

Z większą ochotą oczywiście siada do stołu, gdy dobrze jedzą i piją, poświęci się też i zagra w brydża, wygrywając wszystkie robry, ale i polowaniem nie pogardzi, gdy tak wypadnie w „programie dziennym“. Należy tylko pomyśleć o garderobie i zaopatrzyć go w cały rynsztunek łowiecki. Przywozi zwykle ochotę do wszystkiego, głód, pragnienie i szczęście w karty, ale z odzieży myśliwskiej najwyżej zieloną krawatę.

— Po co to — mówi — wozić się ze wszystkiem, czy nie ma już w domach polskich gościnności?

Więc wydobywa się, co jest zapasowego w dubletach, a więc w butach, spodniach, kurtkach i kapeluszach, w garderobie odbywa się przymiarka, jak u tandeciarza, a że wuj Teofil jest niezwykle małego wzrostu, więc w składkowy kostjum przybrany, jest podobny do wszystkiego, tylko nie do manekinu wystrojonego w oknie wystawowem „marchand tailleur“.

Do jednej tylko rzeczy czuje wstręt nieprzezwyciężony to jest do wody.

— Woda — mówi — dla żab, dla stworzeń zimnokrwistych; dla porządnych ludzi — w butach nawet nieprzyjemna.

Gdyśmy raz przechodzili nad rzeką, przy której brzegu stała tablica z policyjnem rozporządzeniem: w tem miejscu pod karą trzech marek nie wolno się kąpać, mruknął: trzy marki — za mało.

Razu pewnego — było to w sierpniu około południa — przychodzi od wuja Teofila depesza o konie na dworzec, a z nią, jak zwykle, prawie

# Obława na wilki w lecie.

Nie jestem zwolennikiem tego polowania. Właściwie nie jest to polowanie, a tylko zorganizowane zbiorowisko, zwykle w znakomitej większości nic z łowiectwem wspólnego nie mających ludzi, którzy nie szukają szlachetnych wrażeń myśliwskich, a jedynie pałają chęcią wymordowania wykrytego gniazda wilków. Nie przeczę, że są wypadki, gdy taka obława bywa uzasadnioną, a czasem nawet konieczną. Jednak pomimo to wszystko pozostaje ona nieetyczną. Zresztą zależy, jak kto rzeczy rozumie i jak kto na co się zapatruje. Ze słowem polowanie łączę pojęcie związane z całym szeregiem wrażeń, które odnosi myśliwy w ciszy leśnej przez bezpośrednie obcowanie z naturą i z wiecznem pięknem przyrody.

Nie podzielam też klasyfikowania zwierzyny na tak zwaną zwierzynę „pożyteczną“ i „szkodliwą“. Ten podział został wprowadzony przez naszych zachodnich sąsiadów, a myśmy go od nich przejęli. W pierwszej połowie zeszłego wieku we wszystkich gałęziach gospodarstwa wiejskiego wszechwładnie panował on u praktycznych niemców. Równolegle z tępieniem wilków, rysi, żbików, lisów, wydr i wszelkich drobnych drapieżników, tępiono w leśnictwie osikę, lipę, jarzębinę, leszczynę i wszystkie tak zwane „chwasty leśne“. Dziś się za to tępienie „zemściła“ przyroda, zsyłając na jednolite i jednowiekowe ich drzewostany iglastą mniszkę, chojnówkę, barczatkę dębową oraz cały szereg innego robactwa. To samo w postaci chorób spowodowanych światem drobnoustroi wcześniej czy później spotka gatunki szlachetnej zwierzyny, gdy doszczętnie usuniemy „sanitarną komisję“ w postaci wilków, lisów, kun, tchórzy i t. d. W naturze panuje i musi panować wytworzona przez nią równowaga. Naruszać jej niewolno. Osobiście wolę też bez porównania bronić się w mych łowieckich rewirach od nadmiernej ilości czworonożnych drapieżników, niż po ich doszczętnem wytępieniu zwalczać bąblowiec u zajęcy lub motylicę u saren.

W założeniu też wyżej wspomnianego podziału leży przyznanie prawa do istnienia i życia tylko dla jednego człowieka. Słusznie p. J. Ejsmond mówi, że jest to te same źródło, wychodząc z którego twierdzi murzyn, iż bardzo dobrze się stanie, gdy on komu krowę skradnie, a bardzo źle, gdy mu ją uprowadzą. Wszystko co żyje tem samem ma prawo do życia. Polowanie to pewien odwieczny pojedynek człowieka ze zwierzyną. Gdy więc człowiek uzbraja się w dubeltówki i sztucery, wytwór jego rozumu i pomysłowości, to etyka nakazuje pozostawić zwierzynie możność zupełnego wykorzystywania swych zmysłów, rozumu i wszystkich właściwości, któremi ją obdarzyła natura. Nie jest więc etycznem polowanie na zbyt młodą i przez to bezbronną zwierzynę, jak nie jest etycznem zupełne wybijanie jakiegokolwiek gatunku. To już nie polowanie, to gwałcenie równowagi w przyrodzie, które my nazywamy w mowie łowieckiej „tępieniem“. Konieczność może tylko zmusić do tego, ale wewnętrzne poczucie prawa

---

jednocześnie, on sam per pedes apostolorum. Ledwo stanął w drzwiach zawołał zaperzony:

— Co to u was za gościnność: w takim upale kazać wujowi z dworca wędrować pieszo!

— Niech wujcio nie brzęczy, -- odparłem — w przyszłości depesze najlepiej samemu napisać i przynieść, nie oddawać na telegraf, a będzie 80 gr. plus 40 gr. czystego zysku. Po obiedzie dość sutym, jak na improwizowany, wujek Teofil w lepszym już humorze pyta o dalszy program i „porządek dzienny“. Właśnie na dzień ten miałem umyślone polowanie na kaczki, pierwszy raz w tym sezonie, więc też teraz postawiłem je, licząc zjedzony obiad za numer pierwszy, na numerze drugim „porządku dziennego“.

Tuż za parkiem rozpoczynające się jezioro zarosłe trzciną i sitowiem, dawało schronienie licznemu wodnemu ptactwu. Ale jak to niestety zawsze w podobnie zarosłych, a więc miałkich wodach bywa, polować można było tylko na płaskiej i wąskiej łódce, zbudowanej na dwie osoby.

Wziąwszy więc psa, strzelby i wiosło, udaliśmy się na brzeg jeziora.

— Co? w tem korycie mamy polować?

— Niech wuj tylko wejdzie bez obawy, popłyniemy tak pewnie, jakby w parowcu Lloyda, tylko niech wuj raczy spokojnie siedzieć i nie powstawać. Wuj Teofil długo jeszcze nad tym Lloydem powątpiewająco kiwał głową, ale wreszcie zasiadł z przodu, a ja z tyłu. Odepchnąłem łódkę od brzegu. Pies poszedł wpław. Łódka straciwszy pod sobą oparcie, kiwnęła się raz, drugi i trzeci... Wuj Teofil strzelbę położył przed sobą, schwycił się obiema rękami za krawędzie łódki i tak sie-

i prawdy, pomimo to pozostaje w głębiach duszy ludzkiej i tem właśnie my się różnimy od zwierząt, różnimy się od murzyna.

To też stosujmy to polowanie na młode, głupie i bezbronne wilczki tylko w wypadkach, gdy zmusza nas do tego ich nadmierna ilość, poważnie zagrażająca życiu domowych zwierząt i niektórych gatunków zwierzyny. Gdzie wilków mało, odłóżmy to polowanie do późnej jesieni i zimy, do czasu, gdy wilki wyrosną, gdy będziemy musieli zastosować pełnię sposobów łowieckich w polowaniu na to mądre zwierzę, gdy strzał da prawdziwą emocję, a zdobędziemy piękne trofeum.

* * *

W końcu lipca i w sierpniu, gdy młode wilczki są wielkości lisa, zaczynają odchodzić od gniazda. Wilczyca wówczas zwołuje je wyciem. Wieczorem, po zachodzie słońca, gdy już stare opuszczą gniazdo, w poszukiwaniu żeru, młode, usłyszawszy nawet najmniej udatną imitację głosu swych rodziców, tak zwany wab, niezwłocznie się odzywają. W ten też sposób zostaje wykrywane i określane miejsce ich pobytu. Na drugi dzień, zwykle w najbliższe święto, by nie tylko myśliwi, lecz i miejscowa ludność mogła przyjąć udział w pogromie, wyznacza się obławę.

Nadzwyczaj ciekawy bywa na tych obławach zespół myśliwych. W znacznej mierze tworzy to oficjalny charakter takich polowań. Przed wojną było zwykle na nich nieodzowne „jewo błagorodje" prystaw miejscowy w asystencji co najmniej dwóch uradników. A co za kolekcja broni. Obok ostatniego słowa techniki puszkarskiej nowożytnych dubeltówek, jak dusze zmarłych z tamtego świata na seansie spirytystycznym, zjawiają się starannie ukrywane w strzechach, pod podłogą i w dziuplach drzew różne pordzewiałe pojedynki, przerobione ze skałkówek i francuskich karabinów armji napoleońskiej. Widziałem raz nawet na takiem polowaniu starego zaściankowego szlachcica, który przybył z garłaczem.

* * *

Ostęp, w którym odzywały się wilki, należy zajmować między godziną jedenastą zrana a pierwszą po południu, w tym bowiem czasie stare są razem z młodemi. Przy ustawianiu linji strzelców koniecznem jest zachowanie zupełnej ciszy, w przeciwnym razie stare wychodzą bokami, lub też wymykają się przed objęciem ostępu. Dopiero gdy strzelcy zajęli stanowiska, można zaprowadzać nagankę. Jest wskazanem ustawianie jej bezpośrednio od linji myśliwych, by cały ostęp był szczelnie otoczony ludźmi. Zdarza się, że przy niesfornej i zawsze hałaśliwie zachowującej się nagance, spędzanej często przymusowo przez policję na to polowanie, stare wilki wychodzą w tych właśnie nieobstawionych miejscach.

Nadzwyczaj rzadko się trafia, by panował na takich polowaniach chociaż względny porządek, to też posiadacze pojedynek, zwykle miejscowi kłusownicy, pokryjomu wchodzą do ostępu i lokują się przed myśliwymi, stojącymi na najlepszych przesmykach. W ogólnym chaosie, który zawsze powstaje przy tak wielkiem zbiorowisku całkiem sobie obcych ludzi, niepodobna wykryć pochodzenia wszystkich tych strzałów, które padły wewnątrz miotu. Nigdy też niewiadomo do czego tam właściwie strzelano. Tą też słabą stronę tych polowań wykorzystują kłusownicy, zabijając sarny, zające nawet ptactwo na równi z wilkami, a czasem częstując śrótem stojących na linji myśliwych.

*Bolesław Świętorzecki.*

---

dział skurczony, jakby wnętrze jego chwyciły nagle boleści żołądkowe.

Tu rozpoczął się początkowo spokojnie, następnie z coraz to większym temperamentem i stanowczością wypowiedziany następujący monolog:

— Hm.... Lloyd, parowiec — piękny mi parowiec; kiwa się, jak żyd nad talmudem; powiedz lepiej „zaprzedajdusza"; i w takim wehikule jeździć na kaczki, puszczać się na wodę? Na takie bagno, w którym nawet pływać nie można?

— Proszę się zawrócić — ja nie jadę — komu życie niemiłe niech jedzie, bierz go z sobą, ja jeszcze chcę żyć dłużej.

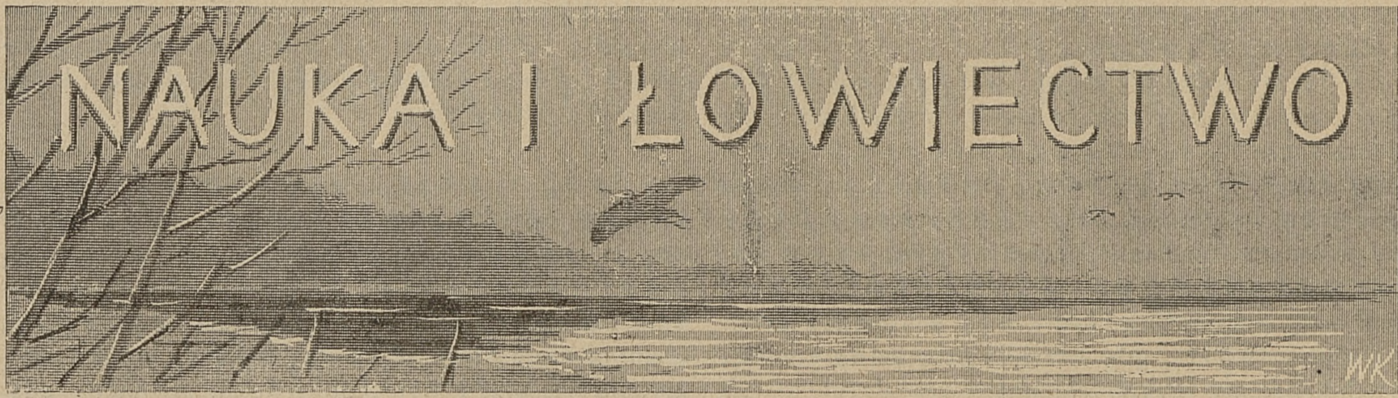
Gdy nic nie mówiąc wiosłowałem spokojnie dalej, zakrzyczał:

— Słyszysz! czyś ogłuchł? nie jadę, mówię ci — poluj sam lub z podobnymi sobie wiatrogłowami... — Zawróć — warjacie jakiś, zawróć, mówię — utop się w błocie, i daj się pożreć rakom, czy żabom, wszystko mi jedno, ale nie w mojej kompanji!...

Widząc, iż i to pozostało bez wrażenia i skutku, zaczął z innego tonu.

— Mój Władku! mówię teraz do ciebie jako krewny, jako wuj, jak człowiek doświadczony: słuchaj, jesteś przecież rozsądnym człowiekiem, miałem cię przynajmniej za takiego, jesteś poważnym obywatelem, nawet prezesem kółka włościańskiego — jeżeli się nie mylę, — masz żonkę młodą, nadobną i dziatki drobne. Cóż z tem wszystkiem się stanie gdy zginiesz? O mnie nie chodzi... Tu zrobił wujek Teofil twarz tak dramatyczną, iż pozazdrościłby jej najpierwszy tragik europejski.

O mnie naprawdę nie chodzi, jestem kawale-




# KROGULEC.

*(Monografja myśliwsko-przyrodnicza).*

*(Dokończenie).*

Krogulec nocuje najchętniej w gąszczu świerków lub sosen w połowie wysokości drzewa; w braku drzew szpilkowych wybiera gęste dęby lub graby. Na nocleg przylatuje o zmroku, szybkim, energicznym lotem i zajmuje odrazu wybraną gałąź. Po kilku badających spojrzeniach w dół i na boki, strzepuje pióra, wciąga głowę i szyję w ramiona i zasypia. Spłoszony przypadkiem wraca uparcie nawet wśród nocy na wybrane miejsce spoczynku.

## WYLĘGANIE.

Gniazdo zakłada krogulec w gąszczy leśnej na drzewach, przeważnie szpilkowych, w połowie ich wysokości i blisko pnia. W górach ściele je niekiedy w załomach skalnych. Nie odlatuje, jak gołębiarz do głębokich kniei, lecz wyszukuje sobie ęgowisko często blisko wsi i miast, Żajmuje w tym celu samotnie w polu stojące gęste, stare drzewa. Buduje gniazdo niechętnie, bo nie ma na to czasu, dlatego wraca corocznie do starej budowli. Gniazdo bywa różnorakie, czasem sklecone niedbale z patyków brzozowych lub sosnowych, wyścielone tylko mchem i sierścią, czasem widać w jego konstrukcji większą staranność, szczególniej wewnątrz legogowiska, które samica wyściela puchem z własnej piersi wydartem. Jest ono zawsze wielkie.

W początkach maja znosi samica 3 do 5 jaj wielkości gołębich, dość gładkich o grubej białej skorupie, upstrzonej plamkami i centkami koloru bronzowego lub czerwonawego. Samica siedzi na jajach sama, dosiaduje twardo i okazuje dużą troskliwość tak o jaja, jak i o młode. Spędzona z gniazda, wraca do niego, gdy napastnik odejdźie. Rola samca ogranicza się do karmienia wysiadują-

---

rem, nikt po mnie płakać nie będzie, ale ty?... Zastanów się, jak można być tak lekkomyślnym... Patrz, woda się nabiera do łódki!... Znałeś Furczykiewicza? nie! Miał żonę i dziewięcioro dzieci. Strraszny wypadek! Wody nabiera się coraz więcej! Co chciałem mówić?... Prawda! Pojechało nas kilku myśliwych do Furczykiewicza na kaczki. Pamiętam, było jak dzisiaj: łódka którą mieliśmy jechać, wywrotne pływadło, — ciekło także, — żaden z nas wsiąść nie chciał, — ale Furczykiewicz, desperat i junak wielki, nie pyta, błagamy, odradzamy, perswadujemy, nic nie pomogło, — pojechał. On tedy na łódce, my na lądzie, idąc wzdłuż brzegu, polujemy. Psy pracują, kaczki się rwą — strzelamy, i on strzela zakryty przed nami trzciną. Wtem znów strzał huknął — plumps! Krzyk krótki i wszystko ucichło. Wołamy, co się stało, cicho... Zwołujemy ludzi, i rybak nadbiegł, wsiadamy w łódkę i szukamy, długo napróżno, aż nareszcie po kilku godzinach pracy wyłowiliśmy Furczykiewicza, ale w jakim stanie... oczy w słup obrócone, twarz nabrzękła, zielono sina... nieżywego, topielca. — Wyciągnięto go na brzeg... Okropność patrzeć — żona załamuje ręce, dzieci płaczą — dziewięcioro dzieci! Oh! co za straszny widok — nie zapomnę go nigdy!... Widzisz, do czego to lekkomyślność doprowadzić może, mój Władku.

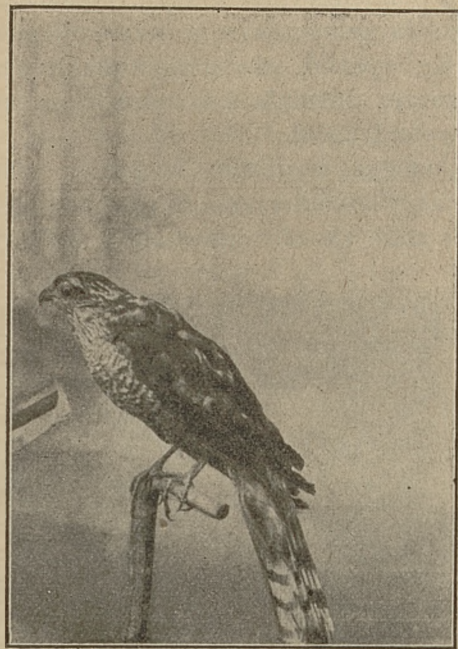
— Zawróć słyszysz? — bo zginiesz tak marnie, jak Furczykiewicz... Patrz, jaka czarna chmura na niebie; pewna burza zbliża się do nas, wiatr się podnosi, tylko patrzeć — łódkę pochwyci, przewróci i już jesteśmy na dnie, albo w błocie — jeszcze gorzej. Pomyśl też, mam na sobie wszyst-

cej samicy, której przynosi co chwila ubite ptaszki. Po trzech tygodniach wykluwają się nagie, tylko miejscami puchem porośnięte, młode. Są niedołężne, żarłoczne. Rosną szybko. Rodzice karmią je troskliwie, przynosząc pokarm w wielkiej obfitości. Strawę rozdzielać umie tylko matka i ona wyznacza każdemu dziecku odpowiednie kąski. Młode są nagniezdne; w gnieździe siedzą długo, bo aż do zupełnego wykształcenia skrzydeł. Rodzice towarzyszą dzieciom jeszcze przez czas dłuższy, dożywiając je i kształcąc gorliwie w sztuce łowieckiej. Upierzenie młodych jest wogóle bronzowe; a ogon bywa z wierzchu poprzecznie prążkowany. Są od rodziców mniejsze. Polują nieumiejętnie i padają często ofiarą własnej nieostrożności.

## SZKODLIWOŚĆ.

Krogulec jest najstraszniejszym wrogiem wszystkich małych ptaków i zwierząt. Od kuropatwy do strzyżyka, od młodego zajączka do myszy. Największe jednak szkody zrządza przez tępienie ptaszków śpiewających i owadożernych. Umarza w zimie szczygły, czyżyki, makolągwy, dzwońce, gile, szpaki, drozdy, jemiołuszki, kwiczoły i inne, na wiosnę zaś i w innych porach skowronki, słowiki, pokrzewki, różne gatunki muchołówek i td. Że szczygłów coraz mniej, że czyżyki i czeczotki znikają, przyczynia się do tego w dużej mierze i krogulec.

W ogrodzie miejskim w Lublinie śpiewał w maju r. 1921 w jednym z klombów szosy słowik. Głos jego rozbrzmiewał kaskadą przecudnych tonów po całym parku i budził zachwyt przechadzającej się publiczności. Lubiłem siadać na ławce obok klombu, patrzeć na bożego śpiewaka i przysłuchiwać się jego pieśniom. Rankami i wieczorami śpiewał najdonośniej. Gdy raz nad wieczorem przyszedłem i zająłem swoje miejsce, sprawdziwszy wprzódy obecność kochanego ptaszka, stała się rzecz straszna... Załopotało coś w gałęziach klombu, zamajaczyła złowroga sylweta krogulca i biedny słowik znalazł się w szponach potwora... Umilkł na zawsze, nie dokończywszy swej pieśni... Nie pomogły moje krzyki, nie pomogło gonienie za drapieżnikiem; uniósł ofiarę daleko, do innego ogrodu...



Krogulec — samiec (młody).

Ze szczególną zawziętością prześladuje jednak wróbla. Aczkolwiek czynią one nieznaczne szkody w zbożu, które zresztą wynagradzają stokrotnie tępieniem szkodliwych owadów, zasługują w pełnej mierze na ochronę ze strony człowieka i na opiekę

---

kie twoje rzeczy, prawie nowe buty, gdy wpadnę do wody, zmarnuje się to wszystko. Napróżno! Nie słuchasz? Widocznie Pan Bóg ci rozum odebrał i pragnie cię ukarać, a więc jedź już, ku swej zgubie, kiedy tak przeznaczono, ale pamiętaj przynajmniej o mojej duszy, — u spowiedzi byłem dawno, na Wielkanoc...

Wtem załopotało w trzcinie, szum zrywającego się stada wstrząsnął powietrzem. — Kilkanaście kaczek z wrzaskiem podniosło się w górę i zanim temu zapobiedz zdołałem, wujek zapominając wszystko, zapominając topielca Furczykiewicza, ostatnią spowiedź i wszystkie cenne przestrogi i napomnienia, w zapale myśliwskim porwał się na równe nogi i chwycił za strzelbę... Dwa strzały huknęły prawie jednocześnie. Potem wujek zatoczył się, rozkrzyżował ręce, pochylił się w prawo, potem w lewo i znikł mi z oczu jak Prozerpina w czeluściach Hadesu.

Stało się to wszystko szybciej, niżem to zdołał opowiedzieć. Łódka przechyliła się gwałtownie; instynktem wiedziony rzuciłem się w drugą stronę i w czas jeszcze wuja za kołnierz.

Wyciągnąłem go, jak szczupaka z więcierza; nie klął już, nie wymyślał nawet, tylko jak ryba wydobyta z żywiołu swego, ruszał wąsami i parskał płynem, którego żaden aptekarz nie uznałby za „aqua destillata".

— Tfu! — były jego słowa — tfu! z taką gościnnością!

*Wł. Janta Połczyński.*

wobec krogulca. Napada na nie zawsze niespodzianie i dlatego uniemożliwia im ucieczkę. Goniąc na oko w locie chwyta każdego ptaszka.

Przejeżdżając raz przez pewną wieś o świcie, zobaczyłem lecącego górą trznadla. Podążał szybkim lotem do wytkniętego celu i ani przypuszczał, że lot ten będzie ostatnim w jego życiu... Oto z dołu, z pomiędzy drzew sadu, podlatuje naprzeciw niego krogulec, silnem uderzeniem skrzydeł podnosi się wysoko, równa się z ptaszkiem, a zmusiwszy go do zniżenia się, nakrywa momentalnie sobą, chwyta i unosi...

Nie mogąc wydostać wróbla z tarniny lub płotu, straszy go uderzeniem skrzydeł, spędza na ziemię i goni za nim piechotą. Tak długo go



Krogulec — samica z upolowanym drozdem.

prześladuje, dopóki nie zmęczy go zupełnie i nie schwyta. Dzięki odwiecznej, codziennej walce z krogulcem umieją się wróble może najskuteczniej ratować przed nim. Stare, doświadczone samczyki, nie szukają nigdy ratunku w locie, bo wiedzą, że je ich prześladowca dogoni; starają się natomiast ukryć przed nim w gęstych krzakach tarniny, w chróście, w żywopłocie i td. Mają się też zawsze przed nim na baczności. Całe ich życie upływa na trudzie zaspokojenia głodu, zdobycia ziarenka, okruszyny pokarmu, i walce z ciemiężcą, krogulcem. Zobaczywszy go, wydają charakterystyczny głos trwogi przestrzegając się wzajemnie, chowają się w popłochu w najgęstsze krzaki, płoty, pod dachy· między gzymsy, za rynny i siedzą cicho. Krogulec może je wtedy przeoczyć i odlecieć. Inne ptaszki, jak szczygły, makolągwy. szukają ocalenia w locie i dlatego stają się jego łupem. Zjawiskiem charakterystycznem, które często obserwowałem jest, że na pliszki szare i na sikorki krogulec nie uderza, względnie czyni to rzadziej. Raz tylko znalazłem na żerowisku krogulca zjedzoną przez niego sikorę bogatkę. Na jaskółki, które znowu mają swojego specjalnego tępiciela w sokole-kobczyku, poluje krogulec rzadko. Niektóre z nich, jak dymówki, ścigają go nawet gromadami, pospołu z pliszkami, zbliżają się bohatersko do niego na małą odległość, hałasują mocno i ostrzegają tym sposobem inne ptaszki. Dla przepiórek jest krogulec nad wyraz niebezpieczny. Zdarzało się, że porywał je przed psem, i unosił, zanim zdumiony myśliwy mógł się zorjentować i strzelić do zuchwalca.

Młode ptaszki w gnieździe stanowią ulubioną jego potrawę. pożera je wszystkie. Znany naturalista, Brehm, opowiada, że samica krogulca, świeżo raz schwytana, pożarła sześć młodych wróbli jednego po drugim; poddano jej żarłoczność takiej próbie i nie zawiedziono się na apetycie ptaka. Nie należy się więc dziwić krogulcowi, polującemu bez wytchnienia od świtu do zmroku; ciągłe uganianie się za zdobyczą, ciągły ruch jest jego życiową potrzebą. Ale jakie szkody zrządza on wśród ptasząt, możemy sobie wyobrazić. Nie gardzi również i jajami ptaków; gdy mu się uda porwać z gniazda samiczkę, wraca do jaj i wszystkie wypija.

## ODSTRZAŁ.

Krogulec nie zasługuje żadną miarą na ochronę. Jako typowy szkodnik i wróg wszystkich ptaszków śpiewających i owadożernych musi się spotkać ze strony człowieka z dowodami nieprzyjaźni.

Powinno go się zabijać wszystkiemi sposobami. Służba lasowa musi go strzelać i otrzymywać takie strzałowe, jakie jej się należy za odstrzelenie gołębiarza. Radziłbym jednak, aby pokazywała swoim zwierzchnikom zawsze całego ptaka, a nie tylko dziób i szpony; te bowiem dowody nie mogą stanowić o zabitym krogulcu. Często się zdarza, że zamiast niego padają ofiarą śrutu niewinne pustułki, lub myszołowy, za które powinna straż płacić kary, a nie otrzymywać honorarja. Także wszystkie towarzystwa i kluby myśliwskie powinny nakazywać swoim strażnikom odstrzał krogulca.

Można go chwytać w samołówki i w żelaza.

Polowanie na niego z puhaczem daje lepsze rezultaty, niż polowanie na gołębiarza; krogulec uderza na mocarza nocy kilkakrotnie, a często po odlocie wraca do niego, jakby sobie przypominał jakieś tam niewyrównane z nim rachunki...

Najskuteczniej tępi się go przez wybieranie jaj i zabijanie młodych.

Powinni go strzelać myśliwi na polowaniach w kniei i w polu. Doskonałą sposobność nastręcza sam ptak, gdy przed naganką podlatuje z drzewa na drzewo ku linji myśliwych i siada im często nad głową. Ubiłem w taki sposób kilka krogulców i gołębiarzy. W polu, w kociołkach trudniej to przychodzi, bo krogulec, zaalarmowany strzałem, wzbija się nad linją wysoko i ucieka.

Podejść go łatwo, gdy się zajmuje skubaniem łupu; żądza krwi, żarłoczność i łapczywość zmniejszają wrodzoną ostrożność.

Jest to jednak ptak piękny tak pod względem ubarwienia, jak i budowy ciała. Jako rabuś odznacza się nadto pierwszorzędnemi zaletami myśliwskiemi. Jako myśliwy umie układać plany i kombinować i stosować środki, któremi rozporządza w zdobywaniu łupu. Inteligentny to i myślący ptak...

Nic tedy dziwnego, że dla tych swoich zalet cieszy się i dzisiaj w Persji i Mongolji, a nawet w Turcji dużem wzięciem, jako ptak łowiecki. W południowym Uralu, w okolicach Orenburga polują z nim na przepiórki. Tam wybiera się młode krogulcze gniazda, karmi przez lato i układą, w jesieni już się z niemi poluje, a na zimę puszcza wolno. Nie opłaca się hodować ich przez zimę, gdy każdej wiosny można mieć tyle młodych krogulców, ile się chce lub potrzebuje. Polowanie na wróble z krogulcem należy w Persji do miłych rozrywek myśliwskich. Dobrze ułożony ptak chwyta tam w godzinę do 20 wróbli.

Pojętność jego jest zdumiewająca. Już po tygodniu pobytu w niewoli nadaje się do łowów. Trzyma go się początkowo na sznurku, później i bez sznura przyfruwa na świst gwizdka do rąk swego pana. Samice, jako pojętniejsze, układa się na przepiórki. W Indjach polują z krogulcem na gołębie, a nawet na kuropatwy...

I u nas w Polsce polowano niegdyś z krogulcem. W. A. Maciejowski pisze w „Orędowniku Naukowym„ z r. 1841, że „sokolstwo rozwinęło się u nas na wzór krajów zachodnich, w zabawę wytworną, uprawianą z przepychem i wystawą".

I zaprawdę piękny i malowniczy musiał być widok jeźdźców, kłusujących na dzielnych koniach i dzierżących na rękawicach dziwnie przystrojone myśliwskie ptactwo: białozory ze złotemi dzwonkami, sokoły, rarogi i k r o g u l c e, przybrane w barwne, perłami wysadzane kapturki".

W szeregu szlachetnych łowieckich ptaków zajmował krogulec wprawdzie poślednie miejsce, ale i polowanie z nim musiało być bardzo interesujące, a to z powodu właściwych krogulcowi przymiotow myśliwskich, wymagających innego traktowania, aniżeli szlachetne zalety rarogów i zaciekawiające, dlatego nietylko zawodowych sokolników, ale i feodalnych wielmożów. Być może, że ludność niewolna nie była odpowiedzialną za gniazda krogulcze, że nie musiała ptaków tych strzec, żywić a za zaginione pisklęta głową odpowiadać, jak to bywało z lęgowemi sokołami, ale to pewne, że i gniazdami krogulców zajmowano się troskliwie.

I przypominają się dawne, romantyczne czasy, myśl tęskna upaja się niemi, a ucho łowi daleki, wiekami stłumiony, drżący podnietą, namiętny okrzyk sokolnika: „do lotu!",

*Władysław Gürtler.*

Rzeszów.




# Projekt założenia pierwszej hodowli lisów srebrnych w Polsce.

Przed około trzydziestu laty powstały w Ameryce północnej i Kanadzie pierwsze fermy kulturalne hodowli lisów szlachetnych i innych zwierząt futerkowych. Dziś Ameryka, posiada już 2500 ferm, a niektóre z nich posiadają do 150 par lisów, Hodowla ta ma dawać kolosalne wprost zyski, wynoszące 80—100 towarzystw akcyjnych, wypłacających akcjonarjuszom 100—500% dewidendy.

Nic też dziwnego, że hodowców niemieckich ogarnęła istna febra lisia, pod znaną dewizą „sa-

mowystarczalności". To też od kilku tygodni niemiecka prasa hodowlana, łowiecka i codzienna, a nawet Berliner Illustrierte Zeitung, namawia do zakładania ferm lisich, których już około 100 zorganizowały towarzystwa akcyjne.

Mając na uwadze ekonomiczne korzyści, jakie u nas osiągnęliby nasi hodowcy i skarb Państwa, nie wydając olbrzymich sum w walutach obcych na sprowadzanie drogich futer z zagranicy, śmiem zwrócić uwagę zainteresowanych na założenie w Polsce fermy lisów szlachetnych.

Celem założenia pierwszej fermy, będzie dostarczenie dalszym hodowcom materjału rozpłodowego, gdyż amatorów tej hodowli będzie dużo, bo klimat i warunki hodowli są dla nas sprzyjające.

Konkurencji obawiać się nie potrzebujemy, bo w pierwszym rzędzie hodować będziemy lisy dla naszych Pań, a następnie niebezpieczeństwo nadprodukcji światowej jest jeszcze dalekie, gdyż dopiero na rynku Londyńskim dziesiąta część zapotrzebowania na szlachetne futra lisie jest pokrywana, tembardziej, że futra z lisów hodowanych kulturalnie mają większy popyt, aniżeli z takich samych lisów żyjących w dzikim stanie, łowionych przez Trapperów.

Hodowla sama nie przedstawia żadnych trudności dla zamiłowanych i rutynowanych hodowców innych zwierząt, gdyż amerykańskie doświadczenia z żywieniem lisów nie są już tajemnicą. Pożywieniem lisów jest mleko, kasza, warzywa, przeważnie marchew z dodatkiem cebuli, owoce, mąka owsiana, a wszystko to w stanie gotowanym zaprawione buljonem przygotowanym z odpadków w rzeźniach. Pomieszczeniem dla lisów są zagrody z siatki drucianej o powierzchni 100 m. kw. na jedną parę. Czas ruji u lisów jest luty i początek marca, ciąża trwa 52 dni, miot jest bardzo liczny wynoszący nap. u lisów niebieskich do 12 sztuk w rzucie. Jedyną trudnością w założeniu fermy będą wysokie ceny przy nabyciu materjału hodowlanego. Jednocześnie pary importowane z Kanady z rodowodami wystawionemi przez rząd kanadyjski, kosztują loco Hamburg 1500 dolarów. Można jednak nabyć w Hamburgu lisy srebrne z ferm fińskich w cenie 1000 zł. za parę, niebieskie natomiast z ferm norweskich i fińskich od 3000 zł. para.

Proponuję zatem utworzenie towarzystwa akcyjnego celem sfinansowania powyższego przedsiębiorstwa hodowlanego, którego koszta byłyby następujące:

| | |
|---|---|
| Urządzenie okólników . . . | 3500 zł. |
| 5 par lisów srebrnych . . . . | 5000 zł. |
| 5 par lisów niebieskich . . . | 15000 zł. |
| Żywienie i obsługa w ciągu roku | 1500 zł. |
| Kapitał zakładowy . . . . . | 5000 zł. |
| Razem | 30000 zł. |

Suma powyższa w czasach obecnych, jest dość poważną może być zebraną przez wypuszczenie akcji do wysokości 50 zł.

Wierzę że projektowana ferma ma u nas wszelkie szanse powodzenia, idąc za przykładem praktycznych amerykanów i niemców, którzy opisanych ferm, — dla przyjemności i sportu nie prowadzą. Zainteresowani zechcą się zwrócić z zapisaniem na akcje do Sekcji Hodowli Zwierząt Futerkowych przy Centralnym Komitecie do spraw hodowli drobiu w Polsce. Warszawa Kopernika 30.

*Tadeusz Misiewicz.*

Pieleszki, poczta Chodecz.

# LISY SREBRNE.

W tych dniach Polsko-Amerykańska Izba Handlowa w Warszawie, ul. Nowy Świat, pałac Staszyca, otrzymała od p. J. Cieśla z Chicago pismo, którego treść podajemy: „Od dwunastu lat, w Stanach Zjednoczonych, oraz w Kanadzie rozwija się nowy przemysł, którym poważnie interesują się najwyższe tutejsze sfery. Chodzi tu o hodowlę tak zwanych lisów srebrnych, — które hodują w Ameryce i Kanadzie tak zamożni jak i biedni czerpiąc z tej hodowli poważne zyski.

Skórki lisów srebrnych sprzedawane są po 200 — 1.000 dolarów.

Ja, jako reprezentujący jedną z największych hodowli srebrnych lisów w Ameryce, zwracam się do Pol. Ameryk. Izby Handlowej z zapytaniem czy nieudałoby się rozpowszechnić hodowli tych lisów w Polsce. Lisy te są najlepszego i najdroższego gatunku. Polska zupełnie nadaje się do hodowli srebrnych lisów.

W tej sprawie byłem w Polskim Konsulacie w Chicago, gdzie zaproponowano mi zwrócić się do Pol. Am. Izby Handl. Jeżeli więc zainteresowani w Polsce uważają za możliwe zaprowadzenie w granicach Polski hodowli srebrnych lisów, proszę o podanie mi imion i adresów osób i stowarzyszeń, które mogłyby nabywać srebrne lisy. Po bliższe informacje proszę się zwracać w języku polskim lub angielskim pod adresem: John Cieśla 1736 N. Hoyue Avenue, Chicago".

# PIERWSZY RZUT.

Ogólnie przyjętem zostało, że pierwszy rzut, czyli lęg zajęcy, przypada na miesiąc marzec; jednakowoż i przed tym okresem, a mianowicie w lutym, a niekiedy już i w styczniu, niektóre samiczki wydają na świat pierwsze w danym roku pokolenie, jako rzut przedwczesny.

U nas, w łagodne zimy, rozpoczynają się parkoty już w drugiej połowie stycznia, w normalnych zaś warunkach — w lutym. Ostra zima nie nasuwa samiczkom żadnych przedwczesnych zachcianek miłosnych, a gach, jak długo gruby śnieg pokrywa ziemię lub ostre mrozy trzymają, nie myśli o parkotach, bo musi się troszczyć przedewszystkiem o pożywienie, w takich ciężkich dla zwierzyny warunkach.

Lecz gdy tylko cieplejszy wietrzyk powieje, a w powietrzu na odwilż się zanosi, już gachy zapominają o codziennych potrzebach życiowych i zaczynają biegać z nosem przy ziemi, za tropami samic, aby je gdzieś dopaść.

Łagodne zimy, z których się bardzo wielu myśliwych cieszy, z uwagi że łatwo i dobrze zwierzyna przezimuje, są właśnie bardzo dla gospodarki łowieckiej niepomyślne. Lęgi, w takich warunkach, nie mają tak bardzo pożądanych przerw; parkoty bowiem trwają zazwyczaj do października, a już w styczniu zaczynają się na nowo. Że młode, wskutek nieodpowiednich warunków atmosferycznych giną, zaledwie tylko światło dzienne zobaczą, możnaby jeszcze ścierpieć, lecz dla łowiectwa następstwa takiego rzutu są niepowetowaną stratą; samice bowiem, straciwszy młode, giną również wskutek zapalenia, wywołanego napływem mleka. Pewna ilość, przetrzymując ten kataklizm, pozostaje wprawdzie przy życiu i chociaż narazie pokonuje wszelkie trudności, to jednak organizm, narażony na inne choroby, traci swą odporność. Wszelkie choroby, na jakie ród szaraczy jest wystawiony, jak np. choroba wątroby, płuc, pęcherza, wrzody, parchy, motylica i t. d. mają podatny materjał w takich słabych sztukach; a jeżeli w szeregach zajęczych pojawi się zaraza, to ofiarą padają przeważnie te osłabione samiczki.

Przedwczesne parkoty trudno jest zauważyć; nawet wprawny hodowca, który swój rewir codziennie odwiedza, nie zawsze spostrzeże to zjawisko. Parkotów bowiem przedwczesnych, nie cechują te charakterystyczne gonitwy i karuzele; tu i owdzie zaledwie zauważyć można pojedyńczą sztukę z głową na dół opuszczoną, śledzącą tropy swego plemienia.

Myśliwy-hodowca, nie może naturalnie tym zjawiskom przeciwdziałać, albowiem nie leży to w jego mocy, aby mógł zapobiedz przedwczesnym parkotom w swoim rewirze.

Jeżeli pierwsze lęgi, z powodu łagodnej zimy, przypadną na luty, to zazwyczaj z takiego rzutu nie pozostaje nic. Zima bowiem w styczniu, albo lutym łagodna, panoszy się srodze w marcu, a nieraz i w kwietniu. Zresztą, aby zniszczało całe pokolenie pierwszego rzutu, nie potrzeba koniecznie suchych mrozów lub śniegu, wystarcza zimne a przytem mokre powietrze, jakie zwykle bywa z początkiem wiosny. A chociaż słońce za dnia dobrze już dogrzewa i działa dodatnio na młodzież szaraczą, to zimne noce niweczą zbawienne działanie promieni słońca.

Nieraz słyszy się zapatrywanie, iż przyczyną wczesnych parkotów jest obfite zadawanie karmu w zimie, wobec czego należałoby w małej ilości, albo wcale pożywienia nie podawać. Takie zapatrywanie jest z gruntu fałszywe. Okoliczności bowiem wczesnych parkotów zależą wyłącznie tylko od warunków atmosferycznych. Jak tylko po dłuższej zimie nastąpi odwilż, a tu i ówdzie pierwsze plamy odtajanych pól się pokażą, zaczynają się parkoty i w takich rewirach, gdzie karmy zającom nigdy nie zadawano.

Możemy natomiast podtrzymywać z całą pewnością, że na wytrzymałość rzutu, wywierają wpływ cielesne własności danego osobnika. Dlatego też sama natura przychodzi z pomocą, wyznaczając niejako na pierwszy rzut po jedynaku lub najwyżej bliźnięta. Dzieje się to zazwyczaj po normalnej zimie, gdzie niema przedwczesnych parkotów; natomiast po zimach nadzwyczaj łagodnych, pierwszy rzut jest wówczas liczniejszy, a osobniki cieleśnie słabsze, a zatem mniej odporne, na niekorzystne warunki atmosferyczne.

Na dowód niech posłuży tegoroczna zima. W niektórych okolicach już w pierwszej połowie lutego zauważono młode zajączki, a w pierwszych dniach marca, lęgi złożone z trojaczków i czworaków. Śnieg, który spadł za kilka dni i okrył grubą warstwą ziemię, doszczętnie zniweczył przyszłość pierwszego rzutu.

Spotykałem wielu myśliwych, utrzymujących, iż pierwszy rzut daje najsilniejsze osobniki. Poniekąd z tem się również zgadzam, wychodząc z założenia iż pierwszy rzut o ile jest liczebnie mniejszy o tyle jest fizycznie silniejszy, aby młode z tego rzutu, mogły pokonać niekorzystne warunki,

w jakich się znajdą po przyjściu na świat. Pomimo tego takie osobniki jako silniejsze, nie miewają dla łowiectwa większego znaczenia, ponieważ o ile przetrzymają ostre warunki, w zaraniu swego istnienia, to później są wątłymi i nieodpornymi na choroby.

Zasadniczo wiek samicy oddziaływa wiele na stan fizyczny młodych. Natomiast późniejsze rzuty, chociaż fizycznie słabsze od pierwszego, są dla łowiectwa korzystniejsze, ponieważ mają wszelkie dane pomyślnego rozwoju. Warunki atmosferyczne są łagodniejsze, roślinność z dnia na dzień wzrasta, drzewa i krzewy okrywają się liśćmi, które dają bezpieczne schronienie przed wszelkiemi drapieżnikami.

Wobec tego wywnioskować musimy, iż pierwszy rzut, z małymi tylko wyjątkami, jest dla myśliwego hodowcy stracony i z nim się liczyć nie należy.

*J. Żarnowski.*

# Wyprawa myśliwska do Abissynji.

2

4/XII. Dziś rano, zawczasu uzbroiwszy się w cierpliwość, załatwialiśmy niezmiernie nudne formalności paszportowo-celne. Szczęśliwie nie trwało to zbyt długo, i już o dziewiątej pojechaliśmy do miasta. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie, na „Rue de la gare de Ramley", należącym do pana Chudziakowa, znajomego pana D. Pan Chudziakow, jest to rosjanin żonaty z polką, przyczem oboje bardzo mili.

Dzień zeszedł nam na zwiedzaniu Aleksandrji. Jest to duże i bardzo ładne miasto, łączące w sobie zalety europejskie: czystość i komfort, ze wschodnim wdziękiem i malowniczością. Główna ulica, Ramley, szeroka i wylana asfaltem, przecina łamaną linją całą Aleksandrję, mknie przez piękne pola, i dociera aż do podmiejskiego letniska, Baccus. Stoi tam sporo ślicznych willi w otoczeniu cudnych ogrodów, bogaci aleksandryjczycy szukają w nich schronienia przed kurzem i upałem zalewającym miasto w porze letniej. To też na całej, dwukilometrowej przestrzeni od Baccus, do Aleksandrji, raźnie pędzą w obie strony samochody i pojazdy. Duże, rosnące po bokach drzewa, rzucają miły cień; z pól tchnie świeżość. Szosa często zlewana wodą, miękko przyjmuje kopyta naszych koni i koła powozu.

W pewnej chwili wymijamy, jadącego stępa na cudownym białym koniu, egipskiego beja. Rumak idzie wdziękiem gazeli, delikatnie stawiając cienkie nóżki; jeździec, senny, czy też zmorzony upałem, leniwie kołysze się w siodle. Nagle, niedostrzegalny ruch jeźdźca; sprężenie muskułów końskich; i oto mijają nas niby biały obłok, gnany wichrem, majaczą niby mewa na zakręcie drogi, i giną nam z oczu.

5/XII. Popołudnie dnia wczorajszego i dzisiejszy ranek, zeszły nam na robieniu zakupów. Większą część potrzebnych rzeczy, jak: namioty, broń, amunicję, ubrania i tym podobne, sprowadziliśmy coprawda z Anglji, żywność nabędziemy w Dżibuti lub Dire-Daona. Ale tu nabywamy sporo większych i mniejszych drobiazgów, a przedewszystkiem hełmy korkowe, dotychczas zbędne, a bez których w dalszej podróży niepodobna się już obyć.

Około czwartej popołudniu, zabrawszy bagaż, w towarzystwie Wicka, białorusina, lokaja pana D., powędrowałem na idący do Port Saidu statek. Pan D. pozostał w Aleksandrji dla załatwienia różnych formalności, związanych z dalszą naszą podróżą, i miał przyjechać koleją następnego dnia.

6/XII. Do Port Saidu przybyłem o 7-ej rano. Pan D. spotkał mnie już w porcie. Po załatwieniu formalności paszportowych i celnych, udaliśmy się do położonego nad morzem hotelu Savoy.

21/XII. Z powodu różnych nieprzewidzianych okoliczności, po dziś dzień siedzieliśmy w Port Saidzie i dopiero jutro wyruszamy w dalszą podróż. Cieszy mnie to niezmiernie; bo Port Said, wogóle dość nudny, staje się nieznośnym w dniach przymusowego pobytu.

Początkowo jednak, z pewną przyjemnością włóczyłem się po szerokich, równych ulicach dzielnicy europejskiej, przed zbyt nieraz upalnem słońcem chroniąc się w cień filarów. Potem zwiedzałem dzielnicę krajowców, uliczki brudne, wąskie i kręte, zapchane tłumem hałaśliwym a nędznym i tak natrętnym, iż żebracy, nie otrzymując jałmużny, nieraz sami wyciągali ręce ku moim kieszeniom.

Najczęściej jednak chodziłem na plażę, a stamtąd na wielkie molo, tnące morze długą na parę kilometrów, prostą smugą. Stoi na niem wspaniały ogromem i siłą twórczą rzeźbiarza pomnik

Żęssepsa, okolony kamiennym placykiem. Dalej molo się zwęża, i idzie się już niby wąską skalną drogą, obrzeżoną z obu stron pianą, wiecznie tu niespokojnych fal. W czasie silnych burz, bałwany zamiatają wszystko, co spotkają na swej drodze, przelatując ponad kamienną grzędą, jak stado olbrzymich i żarłocznych ptaków.

Zresztą nie jest to jedyne, grożące tu niebezpieczeństwo; zdarzają się też rabunki, a nawet morderstwa. U wejścia na molo stoi coprawda policjant, ogromny, brodaty hindus; ale morza nikt nie pilnuje i zwinne łodzie przybijają łatwo i cicho do opadających w wodę stopni. Byłem o tem zawczasu uprzedzony i miałem w kieszeni nabity rewolwer, ale nie spotkała mnie żadna przygoda.

Robiłem też wycieczki poza miasto; jednak spalone słońcem nędzne ogrody i pustynia, której cywilizacja odjęła dzikość, a nie dała nic wzamian, były mało pociągające.

Największą bodaj atrakcję stanowią tu przyjazdy dużych statków, wieść o przybyciu których elektryzuje całe miasto. Ożywiają się same zazwyczaj oczy mieszkańców, a ruchy ich stają się szybsze. Kawiarnie, sklepy i teatrzyki otwierają swe podwoje, chociażby już była noc. U bram hoteli tłoczą się ajenci przeróżnych firm, znaczni handlarze i drobni przekupnie, chłopcy czyszczący buty, przewodnicy, dorożkarze i właściciele wielbłądów lub osłów, ofiarując swe usługi, pokazując lub zachwalając towar, oraz żonglując powodzią cen. Apatja, która ogarnia miasto po odejściu statku, w porównaniu z tą gorączka, wydaje się jeszcze bardziej senną.

22/XII. Wyjeżdżamy! Wyjechaliśmy już nawet! Marja Luiza, statek austrjackiego Lloydu, wiezie nas do Dżibuti. Płyniemy obecnie przez suezki kanał, tak chwilami wąski, że z dwóch mijających się statków, zwykle jeden musi stawać. Ale tem wyraźniej widać oba brzegi, lewy—azjatycki i prawy—afrykański, tonące w słonecznej powodzi. Czasami na złotym piasku ukażą się czarne plamy, wielbłądy karawan; czasem, w otoczeniu szarych od kurzu krzewów i palm, błysną białe mury europejskiego domku. Nieraz, jak rzucony silną dłonią bukiet magnolji lub gladjolusów, przeleci stado ibisów, odbijając w wodzie różowe kształty.

O zmroku niebo, woda i piaski przybierają barwy liljowe, by potem, spłonąwszy na chwilę czerwienią utonąć w ciemności.

23/XII. Około ósmej rano dojechaliśmy do Suezu, gdyż cały ten przejazd trwał zaledwie czternaście godzin. Miasto zwiedziliśmy bardzo pobieżnie, nie znalazłszy w niem zresztą nic godnego widzenia. Bardzo ładne są jedynie podmiejskie wille otoczone wspaniałemi ogrodami. Podczas gdy podziwialiśmy zdala jeden z nich, wyszedł z willi Grek—właściciel, i bardzo uprzejmie zaprosił nas do wnętrza. Spędziliśmy w jego towarzystwie parę miłych chwil, zwiedzając ogród oraz jedząc pomarańcze i cytryny o tak delikatnym smaku i aromacie, że podobnych nie zdarzyło mi się spotkać nawet we Włoszech. Banany i winogrona jeszcze nie dojrzały; ale w sklepach i na rynku leżały ich już całe stosy przywiezione z Indji.

24/XII. Z Suezu wypłynęliśmy wczoraj wieczorem, a dziś okrążamy wybrzeże Afryki zbliżając się ku Czerwonemu morzu. Po lewej stronie widać górę Sinai, a u stóp jej wybrzeże dzikie i pustę. Chwilami jest niemal straszno. Słońce, które u nas niesie życie i szczęście, tutaj wróży przedewszystkiem śmierć. Pomimo, iż ponad pokładem naciągnięto już płótno, w południowych godzinach nosimy korkowe hełmy. Brzeg Afryki, do którego się z kolei zbliżamy, omijając podwodne skały, wygląda niby olbrzymie zgliszcze pokryte szarym popiołem. Ani śladu ludzi. Tylko na przybrzeżnej mieliznie widzę po przez lornetkę, czarny, nieruchomy punkt — łódź zapewne porzuconą oddawna.

Pod wieczór wypływamy na pełne morze i brzeg ginie nam z oczu. Tam, gdzie była ziemia, leży teraz liljowa mgła. Na niebie lśnią gwiazdy, niby złote kaczeńce na ciemnym stawie. Morze faluje daleko i jest, jak zorane pługiem czarne pole. Bardzo ciepło, niemal upalnie.

Wigilijna noc... Tak mi się marzy pokryty śniegiem białoruski las; dwór rodzinny; pasterka... I trochę żal i trochę smutno.. Włóczy się oto człowiek zdala od swoich, sam nie wie po co!

Pan D. odnajduje mnie na pokładzie, ale i on ma zgaszony humor. Milcząc schodzimy do jadalnej sali i tam stajemy zdumieni. Oto na ubranym kwiatami stole zieleni się choinka; wśród ciemnych gałązek lśnią różne ozdoby, wiszą małe paczki owinięte w kolorowy papier i płoną świeczki.

Następuje szereg pytań i powszechna radość. Niespodziankę przygotowała pani X, bardzo miła angielka, powracająca z Europy, do męża zamieszkałego w Abisynji. Wywdzięczyliśmy się jej obstalowując parę butelek szampana, który jeszcze bardziej poprawił humory. Rozmowa przeciągnęła się do późna w noc.

26/XII. Morze, morze i morze... W dzień błękitne, jak porośnięta niezabudkami łąka; w nocy fosforyzujące tak silnie, że zda się płonąć. Czasem, gdy mrok mnie rozmarzy, doznaję wrażenia, że to nie morze, a trawnik olbrzymi, i że miljardy świętojańskich robaczków krążą po nim wędrując w górę

i w dół po smukłych źdźbłach lub strącone wiatrem opadają nagle ku ziemi lśniącą falą.

28/XII. Dziś z rana, silny południowy wiatr rozbujał morze. Ogromne bałwany gonią nas i rzucają statkiem, jak piłką. Śruba co chwila wynurzając się ponad wodę wstrząsa pokładem niby febryczny dreszcz. Chcąc ustać na nogach, należy się dobrze trzymać poręczy lub ścian. Jednakże nikt nie choruje. A to, że pod wieczór nie wypuszczamy z rąk lornetek wypatrując lądu należy raczej przypisać gorączce myśliwskiej, niż obawie przed skutkami burzy.

29/XII. Dziś rano statek zarzucił kotwicę w Dżibuti. Jest to niewielki port, oraz miasteczko leżące na południowem wybrzeżu Czerwonego morza, w krainie Somalisów, a stanowiące własność Francji. Z Dżibuti idzie w głąb kraju linja kolejowa, która w owym czasie dochodziła tylko do Dire Daona, dziś jednak dochodzi już do stolicy Abisynji Addis Ababy.

Miasteczko jest ładne i względnie czyste. Pałac francuskiego gubernatora, czyli miejscowego władcy, duży, biały gmach, leży na wyniosłem wzgórzu otoczony zewsząd powodzią zieleni i kwiatów. Równie niemal ładny jest dom konsula, któremu złożyliśmy wizytę w związku z dalszą naszą podróżą.

23/I. Trzydziestego grudnia wstaliśmy bardzo wcześnie, bowiem pociąg którym wyruszaliśmy w dalszą drogę odchodził o siódmej rano. Podróżnych było niewielu, a że przybyliśmy zawczasu, więc udało się nam zająć miejsca przy oknie. Dzień zapowiadał się upalny, a górzysty krajobraz wśród którego biegł tor kolejowy pławił się w słońcu. Na horyzoncie majaczyły chwilami szczyty wyższych gór; bliżej nas, zdając się uciekać w tył, przesuwały się to piasczyste wydmy, to skały dziwacznych kształtów, to znów większe i mniejsze kępy drzew.

Na jednej ze skał, w chwili gdy na zakręcie pociąg zwalniał biegu, zobaczyłem pawjana. Małpa siedziała nieruchomo, o kilkanaście stóp nad ziemią, na sporym głazie wiszącym niemal w próżni; i tylko łeb jej nieznacznie zmieniał kierunek, śląc w ślad za lokomotywą ciekawe spojrzenie.

Dalej nieco na zielonej polanie mignęło mi kilka antylop. Machinalnie sięgnąłem po karabin spoczywający w futerale na siatce wagonu. Oczywiście ręka przebywszy pół drogi melancholijnie opadła, ale zbudzony widokiem zwierzyny instynkt łowiecki nie dał mi już chwili spokoju. Rozgorączkowany, obliczałem w myśli, ile też czasu zajmą nam formalności z miejscowemi władzami, i kiedy nareszcie znajdziemy się w puszczy, z bronią w ręku, wobec mieszkańców dziewiczej przyrody.

O 4-ej popołudniu pociąg stanął w Dire Daona. Jest to niewielkie miasteczko, stanowiące jednak ważny punkt handlowy pomiędzy Addis Ababa, Harrarem i Dżibuti. Ulice jego w wieczornych godzinach, dzienny upał bowiem trzyma wszystkich na uwięzi, roją się barwnym i różnojęzycznym tłumem. Francuzi, włosi, anglicy, grecy, persowie, arabowie, abisyńczycy, somalisi—kto by ich tam wszystkich wyliczył, pędzą zaaferowani, lub znużeni upałem zalegają werandy paru wcale przyzwoitych kawiarni.

Najàwszy tragarzy do niesienia rzeczy, ruszyliśmy do jednego z dwóch hoteli, które Dire Daona posiada. Zanim odpocząwszy nieco zjedliśmy obiad, zapadł mrok; to też odłożywszy na dzień następny załatwianie wszelkich formalności, wcześnie poszliśmy spać.

Nazajutrz złożyliśmy wizytę miejscowemu gubernatorowi, panu Atto Nogato. Przyjął nas niezmiernie uprzejmie i posadziwszy obok siebie rozmawiał z pełnym godności spokojem. Twarz miał rozumną i przystojną, a pomimo że jedyny jego strój stanowiła biała szata udrapowana nakształt rzymskiej togi, z pod której wyglądały bose stopy, nie robił bynajmniej komicznego wrażenia.

Zamieniwszy parę obojętnych zdań, przystąpiliśmy do jądra sprawy. Chodziło nam o uzyskanie pozwolenia na przejście wzdłuż i wszerz całej Abisynji, oraz o swobodę polowania na całym jej obszarze. Atto Nagato wysłuchał nas cierpliwie i obiecał zająć się tą sprawą jaknajgoręcej.

Wyszliśmy pełni dobrej myśli, i... w ciągu długich trzech tygodni obijaliśmy progi różnych ciemno-skórych dygnitarzy, przyjmowani zawsze równie uprzejmie, żegnani zawsze tem samem — „Eszi naga!“ co znaczy—„Dobrze, jutro!“—i zawsze odprawiani z kwitkiem. Jeśli czasem zły humor, którego z nas wybuchł szeregiem delikatnych zresztą wymówek:—Dlaczego trzymają tu nas parę tygodni, skoro na wydanie pozwolenia wystarczy parę dni? albo „Dlaczego odkłada się do jutra to, co można zrobić dzisiaj?“ — otrzymywalismy wzamian pełne wyrzutu spojrzenie, a słodki głos bosego, zawsze bosego generała, sekretarza lub gubernatora odpowiadał niezmiennie:

„Czyż panom tu źle? Czy hotel niewygodny? A może służba niegrzeczna?... No to doskonale! Życie długie, po co się spieszyć?! Na wszystko będzie czas! Pozwolenie na wyjazd panom potrzebne? Eszi naga!“

Papier o który nam chodziło musiał być coprawda opatrzony podpisem menelika lub upoważnionej przezeń osoby; ale z Dire Daona, do Addis Ababy szła przecie linja telefoniczna, a poczta wielbłądzia funkcjonowała znakomicie.

*(D. c. n.).* *Bronisław Gordziałkowski.*

# Czary toków tegorocznych na Polesiu.

Najuprzejmiej zaproszony przez rzetelnego przyjaciela całej naszej rodziny, długoletniego i najmilszego towarzysza Wierzchowieńskich i innych polowań, Józefa hr. Steckiego z Międzyrzecza Wołyńskiego udałem się na gody wiosennych przeżyć łowieckich do Wólki Klesowskiej. Spotkanie nasze ma miejsce w Sarnach na Dworcu. O zmierzchu tegoż dnia przybywamy do Klesowa. Niedziela! „multum" ciekawego ludu poleskiego, oraz tak zwanej „mniejszości" narodowej, w całej gamie najrozmaitszego kroju, „łapserdaków"—chciwie bardzo, przypatruje się nam, a szczególnie sportowemu strojowi kochanego pana Józefa!... Chwila zamętu... Raporty dwóch jakichś widocznie miejscowych „luminarzy"... od cietrzewi?... typowych poleszuków!... „Panoczki — aż hude [1]) błoto od teterukiw!..." Ruszamy. Za chwilę, w okolonej pieściwie lasami rezydencyj Zarządu Dóbr Wólki Klesowej — jesteśmy, jak najkordjalniej powitani i przyjęci przez dawnego mego znajomego, właściciela obszernych włości jeszcze na kresach dalekich p. Adama Czarnowskiego administratora majątków i obszarów Wólki. Wyśmienita, iście z myśliwskim apetytem spożyta wieczerza, krótka rozmowa o delicjach nocy poświęconej uroczyskom „tetrao-tetrixów", strategiczne plany dojazdu do nich kolejką konną wespół z gajowemi, aż do samych budek, przy których podobno ma tokować z kilka dziesiątków liroogoniastych, kamienny parogodzinowy sen... i sakramentalne „pora, panoczek!... uże po dwunastoj hodyni [2])". Kilka wiorst względnie dobrej drogi – zamajaczyło ognisko przy błocie z parą poleskich figur przy niem... Oczekująca na nas platforma drezynowa (wagonetka) z niemiłosiernie chudą szkapiną... Usadowienie się w owem prymitywnem „sleepingu"... i jazda niezwłoczna przez mgły nocne nieskończonych błot, bo, jak „bywali" ludzie powiadają... aż pod sam Pińsk „nawet" sięgających! Fachowo wyedukowana widać szkapa wali równego kłusa, jak po sznurku na ścieżce bocznej pociągając za sobą wagonetkę naszą. „Wasyl hliady [3]) dobre!... powoli!... tut mistok!... tuteczka osyna powałana [4]) na relsach!" w miejscach już aż zbyt katastrofalnych rozlega się ostrzegająco od czasu do czasu.

Półleżąc na sianie platformy, pogrążony jestem całkowicie w rozkoszną kontemplację! Oddycham pełną piersią tem specyficznem powietrzem mokradeł i torfowisk poleskich. Pod miarowy stuk kół wagonetki lecimy jak szaleni, w przedświtu białawych oparach, wśród tajemniczych odgłosów, szeptów, rechotania żab, wśród splendorów nocy królewskiej! Światełka jakieś zamigotały w oddali! „Czy to chaty tam?" „Nema nyjakich chat, panoczek! u lis horyt [1])—uże dwa dnia polycja narod zgoniajet [2]) ratowat'—samogo czut nie wziały! — wykrutywsia! [3]) — bo skazał sczo na służbi u panyw na polowaniu!" Stara, dawno znajoma plaga rejonów leśnych!—owe „pały poleskie", „na złość panom"— sczob trawa łuczsze rosła" — lub nawet „tak sobi" puszczanych gwoli uciechy szerokiej natury chłopskiej! Ileż to jaj, ileż młodych piskląt ginie przytem! nie mówiąc już o drzewostanach! Rezultatem bywa często prawdziwe „po-lesie". Było coś fantastycznego w tej jeździe—niewiadomo—jakby dokąd, ani po co?—w otchłaniach blasku zwierciadeł wodnych—po obu stronach toru leżących! Welon ciemności przecierać się poczyna... gwiazdy bledną! „Storona bieleje, panoczek, szob ne spiznytysia" [4]), „Ustym pogoniaj szwydcze" [5])! Mknijmy jeszcze chyżej!... Żaden „train de luxe"—niczem jest w porównaniu z nami. Wpadam w ten stan błogiego świętego ukojenia i spokoju, w oczekiwaniu rozkosznej chwili zatopienia się absolutnego w Nirwanie szczęścia, tam, w budce samotnej! „Stój — panu grafu Stećkomu—wylezat'—do swojej budki— z pół wiersty dorohi bude i to z hakom". „Wasyl wedy"! „Hak" — okazał się dobrych ze trzy kilometry — jak mi referował później hr. Józef. Już sam jeden pędzę z dziesięć minut. Jestem nareszcie na miejscu. Budka coprawda na błocie, lecz siana nie żałowano. Dość sucho się siedzi. Cisza bajeczna bierze mię w swe czarowne objęcia — z doskonałych najdoskonalsza! Zapomnienie krzywd, bólów i cierni życia. Dusz pokutujących jęki, bąków, beczenia sterówek kszyków, nieśmiałych treli perlistych para, rozbudzonego ze snu skowronka, a potem gorączkowe oczekiwanie przylotu tokowika i „czuszykania" czarnych rycerzy o zbrojach granatowo-szmelcowanych—i ten nastrój radości życia niezrównanej, jedynej — intensywność

[1]) Huczy błoto.
[2]) Godzinie.
[3]) Patrz, uważaj.
[4]) Powalona.

[1]) Pali się las.
[2]) Spędza ludzi.
[3]) Wykpił się.
[4]) Nie opóźnić się.
[5]) Prędzej.

pierwotnych żądz i pragnień łowieckich z okresu jaskiniowych epok przedhistorycznych, uczucie wdzięczności dla Boga Najwyższego, że się doczekało jeszcze jednej, nowej wiosny i przeżyć podobnych!

Naraz—pada tokowik z łomotem okrutnem na ziemię i rozbrzmiewa niebawem „czuszykanie“ namiętnością nabrzmiałe „teteruków“ z całej okolicy. Istny Brocken! — koncert piekielny! Bywałem na wielu bardzo dobrych tokach, lecz takiego „rozczuczykania się“ błota całego, nigdy nie słyszałem. W czasie „szabasu“ wrzało jak w garnku z ukropem, od tonów gruchających, charakterystycznych „mekr-rr“, bulgotania, pląsów, podskoków dziwacznych i uganiań się wzajemnych wiośnianych trubadurów. Oczarowany upajałem się do syta przedziwną symfonją, zapomniawszy niemal o smutnej konieczności strzałów. Zresztą, nie lubię w półmrokach celować w bielejące podogonia. Gdy się już rozwidniło — po przerwie Hołdu, oddanego wschodzącemu słońcu, przez chwilę rozmodlonego zacisza, gdyż nie wolno przed wielkiem życiodajnem aktem Matki Natury roztaczać przepychu zachwytów miłosnych (chociażby cietrzewich nawet), kiedy to czysta jak łza szczęścia ludzkiego Zorza czerwienią swej purpury klejnotami złota i fjoletów, hojnem blaskiem zalała błota nieskończone — okazało się, niestety, że na drugi i trzeci tok—cietrzewie zlatują się o jakie 200—300 kroków dalej od budki. Napoiwszy się przepięknem widokiem iście olimpijskich igrzysk—zanotowawszy w pamięci miejsce koniecznego przeniesienia budki na inny poranek (niestety, nie wypadło już się w tym roku wrócić do niej, z powodu zajęcia dni następnych przez głuszce i inne toki) na wielką odległość położyłem nareszcie parę rozkochanych Romeów, amantów szarych Julij-cieciorek. Dzięki Ci św. Hubercie. Byłem najzupełniej, jak mówili antenaci „ukonsolowany“ — z trofeów w tak pięknem otoczeniu i tak ładnie zdobytych. Hrabia Stecki upolował jednego tylko koguta, gdyż jego budka znajdowała się na terenie już gruntownie wyczerpanem przez poprzednie polowania. Tokowało wokół niej nie więcej 5—6 kogutów. W najdoskonalszych humorach powróciliśmy do uroczej Wólki Klesowskiej — gdzie oczekiwał nas „srodze przyjazny“—jak mawiali przodkowie—najmilszy gospodarz p. Czarnowski.

Dziękuję mu i hr. Steckiemu z całego serca za „już“ i proszę o „jeszcze“. Co daj prędzej Boże!

*Adam hr. Rzewuski.*

# B I A Ł Y.

(*Opowieść*).

1

Kołysał się lekko łan dojrzewającego żyta. Czerwieniały w nim zrzadka maki, niebieskiemi przesiany był chabrami, tu i tam fioletowy rósł kąkol.

Upał był. Słońce żar okrutny słało na ziemię spieczoną. Powietrze drgało; niósł się po polu i lesie i łąkach głos brzęczący, cichy, tysiącznemi wywołany skrzydełkami pszczół i bąków, os i much rozmaitych, a także szelestem kłosów, ocierających się o siebie.

Pole wkrąg lasem było otoczone. Z jednej tylko strony jezioro leżało wielkie, z drugiej niedługim pasmem płynąca rzeka.

Przelewała się woda leniwie, perlącym na zakrętach szumiała głosem, kiedy fala o drzew korzenie się rozbijała, w łożysku oddawna leżących. Nad rzeką i nad jeziorem różnobarwne, przeważnie modre ważki latały chybotliwie, z liścia na liść, z trzciny na trzcinę.

Zapach jakiś swoisty w powietrzu był od ziemi ciepłej idący, czy od traw, albo od lasu cienistego. A może pachniało dojrzewające zboże.

Południe.

W zbożu leżała sarna. Ruda, — dla prawie czerwonego koloru sierści tak nazwana. I jej gorąco dokuczyło. Cienia za wiele nie dawały źdźbła wokół rosnące, od ziemi tylko przykrytej saradelą szło nieco chłodu. Czarne chrapki pracowały zawzięcie, płuca spragnione były powietrza.

Leżała niespokojnie; od czasu do czasu łeb podnosząc, węszyła i łyżki na wszystkie strony nastawiała... Zdawało jej się, że ktoś idzie — lecz wkrótce znów się uspokajała.

Wiatru nie było, a pole mimo to szeleściło cicho. Czasem zakwilił jastrząb i zatrzepotał w powietrzu, z niedalekiego lasu doszedł głos jakiegoś ptaka, który ćwierknął nieśmiało.

— Ruda w okolicy tej od niedawna zamieszkuje, przypędzona z daleka strachem, przed owym złym zwierzęciem, które hałas robi w lesie okrutny,

świcie po polach nocami i czyha na życie biednych strwożonych istot — takich jak Ruda. Znalazła tu niedaleko spokój pożądany.

W polu pełno było legowisk sarnich — bo i sarn wiele. Leżały przeważnie nad brzegami stawów małych, zarośniętych, albo blisko lasu.

Miedza, pole od lasu granicząca, szumiała i huczała, tyle w niej było życia.

Chrząszcze bucząc latały w tę i w tamtą stronę, na źdźble trawy nagle siadały.

Pszczoły z kwiatów miód słodki zbierały, wśród kamieni jaszczurki w słońcu się wygrzewające błyskały różnemi odcieniami szmaragdu. Ważki cicho, srebrzyście skrzydełkami furkocąc na kamieniach siadały i na ziemi, pozłociste, mieniące się w tęczowych blaskach. Świetnemi kolorami, powiązanemi w cudne desenie migotały motyle.

Zagajniki ciche były, na ptakach nawet leżała jakaś ociężałość, iż nie ruszały się, ani nie ćwierkały. Sójka tylko ciszę czasem przerywała swym ostrym nieprzyjemnym wrzaskiem.

Ruda — kiedy upał zelżał trochę i słońce na zachód się kłonić poczęło — usnęła lekko, budząc się jednak za każdym szelestem, ostrożna, gdy ptak furknął, albo pszczoła głośno przeleciała.

Toteż niewypoczęta była, kiedy ruch się w polu wszczął, pod zachód, gdy sarny z legowisk się podnosiły i przez pole ku łąkom ciągnęły.

Poszła za niemi, po drodze urywając kępy co soczystszej trawy, teraz już rosą zwilżonej i chłodnej, i wciągając w płuca zmęczone — rzeźwe, wilgotne powietrze, które wiatr od jeziora przywiał.

Lis miedzą sznurował, borsuk — samotnik szedł ku polom kartofli młodych, w małych zaroślach nabrzeżnych króliki szeleściły i rumotały goniąc się, a nagle — głupie, spłoszone trzaskiem przez siebie złamanej gałęzi przysiadały strachliwie, cicho, chwilę długą nadsłuchując — aż znowu ruszyć się odważyły.

Na błękitniejącym niebie poczęły przebłyskiwać gwiazdy. Słońce pozostawiło na zachodzie purpurową łunę, która z każdą chwilą bladła.

Sarny żerowały w polu, na łąkach, po kilka sztuk, lub osobno. Ruda z miejscowemi się pasła. Nasłuchiwały co chwil kilka, wkoło badawczo patrząc, jakby mrok przebić chciały świecami, dalej chrupały jednak uspokojone.

Był wśród sarn kozioł jeden, mocny bardzo, o potężnych na głowie ozdobach, to też niejako dowodził gromadą, panem jej był, równego sobie w okolicy nie znając. A wyróżniał się rzeczywiście wspaniałą postawą i bystrością niezwykłą.

Krótka noc letnia ku końcowi się miała. Żerowisko wolno pustoszało—sarny poić się ciągnęły nad jezioro.

Na niebie zaległa smuga wschodu.

Jaśniała, z sinej stawała się różową, silniejszą coraz w kolorach.

Wiatr wiał chłodny przez las od dalekich pól, szumiał w nadbrzeżnych oczeretach.

Rosa wielka wystąpiła na trawy, polne i leśne, na mchy i wrzosy.

Niebo już ku górze stawało się jasno niebieskie.

Przy samej ziemi leżał złoto-różowy pas.

Wreszcie buchnęło słońce złoto-żółtym snopem promieni.

Zalśniły, zamigotały rosą okryte liście...

Wschód.

*Stanisław Bończa.*

(*D. c. n.*)

# Narodowe Zawody Strzeleckie.

W dniu 27 kwietnia r. b. na posiedzeniu Głównego Komitetu uchwalono zwrócić się do Pana Prezydenta Rzplitej z prośbą o łaskawe przyjęcie protektoratu nad II Narodowemi Zawodami Strzeleckiemi w Krakowie. Przedyskutowano i uchwalono program narodowych zawodów w roku bieżącym. Program ten obejmuje strzelanie próbne w dniu 5 września r. b., strzelanie ćwiczebne, premjowane i strzelanie konkursowe w dniu 6, 7 i 8 września r. b., z broni typu wojsk. (Mauzer 98), dowolnego typu wojskowego, dowolnej broni konkursowej, długiej, krótkiej i małokalibrowej, oraz strzelanie myśliwskie. Szczegóły programu zostaną podane do ogólnej wiadomości za pośrednictwem prasy, a ponadto zostaną wydrukowane w oddzielnej broszurze, która zawierać będzie również informacje, dotyczące wyników z poprzednich zawodów.

Dotychczas zgłoszone zostały nagrody: Pana Ministra Spraw Wojskowych, o którą ubiegać się będą najlepsi strzelcy, Zarządu Głównego Związku Strzeleckiego (nagroda przechodnia) i Tow. Strzeleckiego w Krakowie. Główny Komitet postanowił zwrócić się z odpowiedniem apelem do wybitnych Osób. Stow. Polskich i Kupiectwa Polskiego, aby ze swej strony pośpieszyły z ofiarowaniem nagród.

W regulaminnie zawodów poczyniono szereg zasadniczych poprawek. Między innemi określono udział w zawodach „niestowarzyszonych". Główny

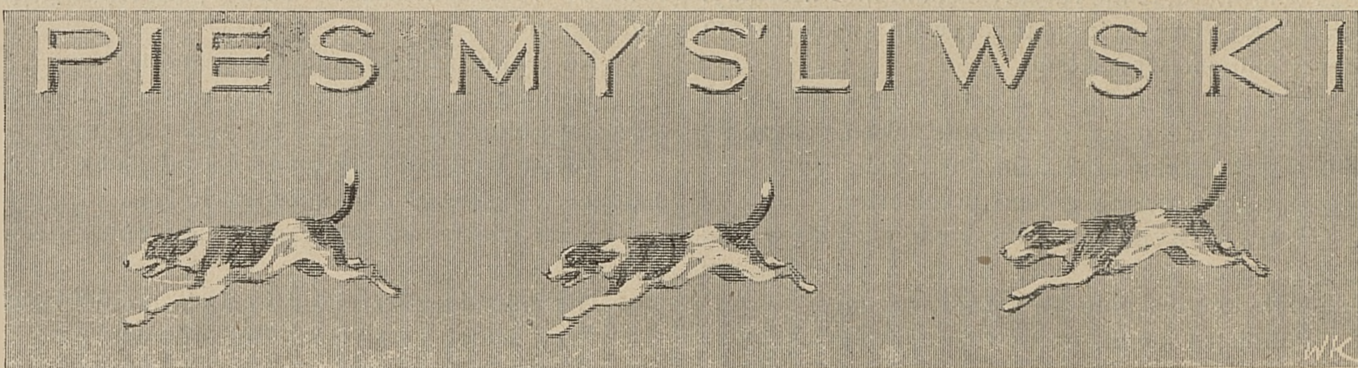
Komitet przyjął bowiem za zasadę, że w chwili obecnej, gdy na ziemiach Rzplitej istnieje kilkanaście związków i stowarzyszeń strzeleckich i łowieckich, nie popierać jednostek, które nie umiały, czy też nie chciały stanąć w szeregu jakiegoś stowarzyszenia, aby przyczynić się do racjonalnego krzewienia sportu strzeleckiego. Następnie Gł. Komitet określił liczbę zawodników z każdego okręgu (D. O. K.) na 30-tu, z czego 10-ciu wyznaczy wojsko, a 20-tu stowarzyszenia, jako podstawę kwalifikacyjną do wzięcia udziału w strzelaniu przez zawodnika, przyjęto pewne minimum, osiągnięte na odl. 200 mtr. przy wystrzeleniu I serji dziesięciostrzałowej do tarczy 10-cio pierścieniowej.

Na skutek sprawozdania delegatów Głównego Komitetu z podróży do Krakowa. Gł. Komitet uchwalił wysłać powtórnie pp. mj. Szt. Gen. K. Pióreckiego i mjr. rez. K. Kierzkowskiego do Krakowa na zebranie organizacyjne Okręgowego Komitetu Narodowych Zawodów Strzeleckich.

W dniu 29 kwietnia Komitet Okręgowy w Krakowie ukonstytuował się, tworząc Prezydjum Honorowe i Komitet wykonawczy.

Na skutek prośby prezydjum Komitet Narodowych Zawodów Strzeleckich, Pan Prezydent Rzeczypospolitej zgodził się objąć protektorat nad II Narodowemi Zawodami Strzeleckiemi, które odbędą się w bieżącym roku w Krakowie.

Równocześnie Pan Prezydent wyznaczył honorową nagrodę dla pierwszego zwycięzcy w powyższych zawodach.




# I Wszechpolska wystawa psów rasowych.

Komitet wystawy stanowili: Członkowie honorowi; I. Baliński — Prezes Rady Miejskiej st. m. Warszawy, Jabłoński — Prezydent st. m. Warszawy, Jul. hr. Bielski — Prezes Centr. Zw. Pol. Stow. łow., Jarmołowicz — Komisarz Rządu st. m. Warszawy, M. Borzęcki — Główny Komendant Policji Państwowej, Dykier — Dyrektor Dep. Ministerstwa Rolnictwa i D. P.

Komitet Wykonawczy: M. Trybulski — Prezes Komitetu Wystawy, St. Czerski — Gospodarz Wystawy, Al. Zacharski — Sekretarz Wystawy.

Członkowie Komitetu: M. Bielawski, A. Brudnicki, B. Cisowski, J. Czyż, M. Decowski, J. Ejsmond, W. Gorczyński, J. Grabowski, Insp. P. P. Galle, W. Korsak, J. hr. Rzyszczewski, P. Mitkiewicz — Nadk. del. G. K. P. P.

Komisja sanitarna: St. Mazuś — przewodniczący.

Komisja sędziowska: H. Knothe, J. Heinrich, A. Kosińska, prof. Marchlewski, O. Saenger, Al. Stolarow, Fr. Unrug i M. Trybulski.

## Nagrody i premje.

### SPIS PSÓW MYŚLIWSKICH I NAGRÓD:

#### 1. POINTERY ANGIELSKIE.

1) K. Świderski — „Czarna Pantera" (bronzowy). 2) A. Janowski — „Nero" (list pochw.). 4. H. Bertram — „Lady" (list pochw.). 4) K. Obniski i Łosakiewicz — „Brydż". 5) S. Czerski — „Frant" po za konk. 6) S. Czerski — „Ram" (list pochw.). 7) A. Brudnicki — „Asta" (bronzowy). 8) M. Bielawski — „Rolf" z roku 1924 (pam. srebrny). 9) M. Bielawski — „Ren" (srebrny). 10) K. Antoszewski — „Norma" Nagr. O. Saengera (dypl. złoty). 12) K. Bakanowski — „Aza" (list pochw.). 13) J. Szeligowski — „Luna" (list pochw.). 14) J. Szeligowski — „Brawo". 15) J. Szeligowski—„Ali" (złoty). 16) B. Milewski — „Blackfield Fate Ganka" (złoty; nagr. H. Knothego; nagr. Tow. Łow. Warsz.; nagr. Centr. Związku P. Stow. Łow.). 17) S. Grymiński — „Rex" (dyplom. srebrny). 18) S. Gry-

miński — „Rena“. 19) W. Szperling — „Princ“ (list pochw.). 20) J Kasprowicz — „Kaddo“ (list pochw.).

2. SETTERY ANGIELSKIE.

21) S. Koźmiana Rejcher — „Actus“ (nagr. O. Saengera, złoty). 22) Z. Leppert — „Kiki” (bronzowy). 23) D. Kłosiński – „Lena“. 24) H. Zabłocki – „Hamid“ (l. pochw.). 25) R. Rajkowski — „Dżek“ (nagr. O. Saengera (złoty). 26) J. Kobylański — „Basta“. 27) R. Pomorski — „Djana“ (bronzowy).

3. SETTERY IRLANDZKIE.

28) L. Tomaszewska — „Neptun“ (nagr. P. Stolarowa, złoty). 29) J. Kirchmayer — „Aza“. 30) Z. Frączkowski — „Rex“. 31) A. Leśniewski — zowy). 46) J. Cybulski — „Aza“ (złoty). (Niedostarczono). 48) M. Łopuszański — „Djana“ (srebr.). 49) M. Abramowicz — „Ikar“ (złoty). 50) M. Abramowicz — „Aza” (złoty). 51) Kółko Łowieckie „Tur“ w Warszawie — „Lord“ (srebrny). 52) Kółko Łowieckie „Tur“ w Warszawie — „Zorka“ (bronzowy). 53) M. Węgiełek „Rolf“ (list pochw.). 54) J. Jeziorański — „Trufla“. 55) J. Jeziorański— „Lala“ (bronzowy). 56) J. Jeziorański — „Morus” (bronzowy). 57) J. Jeziorański — „Czupur“. 58) W. Szepietowski — „As“ (bronzowy). 59) W. Ławkowicz „Boy“ (l. pochw.). 60) S. Moczulski —„Mars“ (srebrny). 61) S. Moczulski —„Diana“ (dyp. srebrny). 62) S. Moczulski — „As“. 63) S. Moczulski— „Lord“. 64) S. Moczulski — Szczenięta 5-miesięczne. 65) K. Pusłowski — 66) S. Załęski — „Snob“.



„ZORKA“ i „LORD“ krótkowłose wyżły niemieckie, wł. Kółka Łowieckiego „Tur“ w Warszawie, nagrodzone srebrnym i bronzowym medalem.

„Rex“ (bronzowy). 32) K. Wieczorek — „Ares“ (list pochw.). 33) S. Heberte — „If“ (bronzowy). 34) S. Heberte — „Irma“ ze szczeniętami. 35) B. Chojnowska — „Rex“ (bronzowy). 36) W. Stelnicka — „Nuna“ (srebrny). 37) Z. Pręczkowski — „Dżek“ (srebrny). 38) J. Matraś — „Leda“ (list pochw.). 39) S. Ostaniewicz — „Ralf“ (srebrny). 40) A. Kosiecki—„Ralf“ (list pochw.). 41) J. Czyż— „Rex“ (dyp. złoty).

4. SETTERY GORDONY.

82) S. Fijałkowski — „Bis“ (bronkowy).

5. WYŻŁY NIEMIECKIE.

43) H. Zabłocki — „Dżek“ (bronz.). 54) S. Załęski — „Boy“. 45) S. Wójcicki — „Trop“ (bron- 67) A. Aleksandrowicz „Eros“. 68) K. Fafius kapt. „Rolf-Wermingsen“ (nagr. Wielkopolskiego Związku Myśliw., złoty dypł.). 69) S. Wendorf —„Diana“. 298) „Rex“. 294) „Irma“.

6. CHARTY.

70) K. Łaszcz — „Gawron“ (srebrny). 71) K. Łaszcz —„Żmijka“. 72) A. Leśnicka — „Kaprys“ (srebrny), 73) M. Konarek-Korska — „Kora“ (list pochw.). 74) S. Openheim — „Rex“ (bronzowy). 75) T. Daszewski — „Titina“ (bronzowy). 76) W. Akst — „Rex“. 77) R. Hryniewiczówna — „Eros“ (bronzowy). 78) S. Nejman — „Liana“. 79) „Ogar“ Zakład Tresury Psów — „Pikkolus“ (bronzowy). 80) „Ogar“ Zakład Tresury Psów—„Szarża“ (złoty). 283) „Ada“ (bronzowy).

7. GRYFONY.

81) J. Bukojemska — „Aza“. 82) 0. Bohdanowicz — „Fryga“ (bronzowy). 83) A. Pilchowski — „Aza“. 84) A. Kosecki — „Era“ (bronzowy). 85) J. Trywdar-Rakowska — „Mrówka“.

8. BRAKI.

86) Minister Vasco de Gueredo — „Ney“.

9. JAMNIKI.

87) D. hr. Kwilecki — „Flet“. 88) D. hr. Kwitecki — „Era“. 89) D. hr. Kwilecki — „Mini”. 90) A. Rodzewicz — „Manome“. 91) W. Klawe — „La“ (srebrny). 92) W. Klawe — „Li“ (bronzowy). 93) M. Metelska — „Fool“. 94) A. Kosecki — „Muszka“. 95) J. Trojanowska — „Rev“ (złoty).

10. FOKSTERJERY OSTROWŁOSE.

239) B. Berger — „Rennuś“ (srebrny). 292) Nagroda O. Saengera. Fokst. krótkowłose nie kwalifikowały się wogóle do nagród. 240) S. ks. Czetwertyńska. 241) S. ks. Czetwertyńska. 242) S. Moczulski —„Boks“. 243) S. Moczulski —„Psotka“. 244) S. Moczulski — „Psota“. 245) Z. Trajdosiewicz —„Dżek. 246) A. Spręglewska — „Mucha“.

# Coś niecoś o etyce łowieckiej.

Wytrawni myśliwi o ile dowiedzą się o jakimś przekroczeniu etyki łowieckiej, lub poprostu mówiąc barbarzyństwie w stosunku do naszego tak już nikłego zwierzostanu, żywo nieraz odczuwają potrzebę jakiegoś prawa, które miałoby na celu ukrócenie lub zapobieganie wyrodnym ekscesom.

Otóż znowu jeden fakt barbarzyństwa, który pozwolę sobie poniżej przytoczyć:

Działo się na terenie gminy Bury, pow. Witkowski, w Wielkopolsce. Gmina owa graniczy z jednej strony z Państw. Leśn. Rew. Jezierce, z drugiej nadleśnictwem Czerniejewo.

Czas krytyczny, to noc z 15 na 16 czerwca 1924 r. Około godziny drugiej w nocy wyszła locha z warchlakami z lasu na pole gminy Bury. Dzierżawca polowania p. Semmler siedział na czatach. Broń jego stanowiła zwykła fuzja śrutowa. Gdy lochę zauważył, począł ją podchodzić. W międzyczasie locha się w ziemniakach położyła (!) i poczęła karmić warchlaki. Z sytuacji tej p. W. bardzo się ucieszył, rozumiejąc, iż będzie mu łatwiej lochę podejść.

Zbliżywszy się na niewielki dystans, zamordował ją poprostu swoją sikawką śrutową.

Warchlaki, jeszcze bardzo słabe, bez kwestji zniszczały. Bądź to przyczyniły się do ich zagłady drapieżniki, bądź też zmarnieć musiały z braku wymaganego przez nie pokarmu.

O ile w takich wypadkach nie będzie można ustalonem prawem karać przestępców, to zwierzostany już tak bardzo minimalne, uledz będą musiały kompletnej zagładzie.

Fakt tem znamienniejszy, że popełniony przez jednostkę, należącą do tak wysoko swą kulturę łowiecką stawiającego narodu niemieckiego.

Któż zaś może ręczyć, że strzelec (o mianie myśliwego nie może być mowy) zdolny do wyżej wymienionego wandalizmu, nie robi również mięsa, strzelając do kotnych siut, klemp lub t. p.

Wobec takiego zwyrodnienia, popełnionego pod płaszczykiem ochrony swych płodów rolniczych, pożądanem byłoby, aby wobec braku odpowiedniej ustawy, zwarta opinja istniejących towarzystw łowieckich, których kardynalną zasadą powinno być postawienie łowiectwa na odpowiednim poziomie, wytrąciła broń z ręki niepowołanego strzelca, lub wywarła presję na czynniki miarodajne, w celu oględniejszego w przyszłości szafowania kartami łowieckiemi.

*Jan Władysław Kołpowski.*

# Słów parę o dziś modnem niewiast pokoleniu*).

Minęły już te czasy, kiedy to myśliwy,
ilekroć się wybierał, gdzieś na polowanko,
poczytywał to sobie za „omen“ szczęśliwy,
gdy choć ukradkiem ujrzał niewieście kolanko.
Dzisiaj, wobec bezwstydnie podkasanej mody,
która odsłania wszelkich kalibrów kolana,
widokiem tym ochwacił się stary i młody,
a urok wróżby prysnął, jak bańka mydlana.
To też, jeżeli Nemrod teraz o czemś marzy,
(a co dzisiaj osiągnąć tak trudno niestety!)
to módz z pod kapeluszy ujrzeć rąbek twarzy
i sprawdzić, czy się jeszcze rumienią kobiety.

*Marja Ejsmondowa.*

*) Słusznie zwanem, gdyż suknie nosi po kolana